Nr. 4. Lwów, dnia 1. Kwietnia 1886. Rok IX.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

SŁOŃKA

(SCOLOPAX RUSTICOLA, DIE WALDSCHNEPFE, LA BECASSE)

PRZEZ

KAZIMIRZA hr. WODZICKIEGO.

Przodkowie nasi twierdzili, że każdy staje się na starość gadułą, co się i na mnie sprawdzić może, a nieśmiertelny nasz Fredro mówi: „Słyszeliście, no to posłuchajcie“.

Występuję z opisem słonki, znanej wszystkim, rzeczywiście z niepospolitą odwagą, zdaje się bowiem, że przedmiot ten wyczerpany i nikt nie potrafi dorzucić nieznanych dotąd szczegółów. Jestem w tym względzie zarozumiały i śmiem twierdzić, że z życia i zwyczajów tego ptaka zdarłem niejedną zasłonę, odkryłem nie mało tajników i mogę badaczom myśliwym podać wskazówki pożyteczne, wreszcie ułatwić polowanie na te ptaki. Poluję od lat 47, mogę się przeto nazwać nestorem myśliwych i mało mi kto wyrówna w liczbie lat. Wprawdzie jako strzelec mogę być nazwany furmanem, który bicze kręci, ale moja namiętność myśliwska zawsze równie gorąca, pulsacye na polowaniu równie gorączkowe, jak za młodych lat, a ostatnia jesień jeszcze mnie obsypała słonkami. Pomiędzy mną a słonką jest jakiś niewytłumaczony łącznik sympatyczny, gdziekolwiek mnie bowiem Opatrzność uposażyła własnością ziemi, wszędzie znajdowałem słonki jakby dla mnie wyłącznie przeznaczone, cóż więc dziwnego, że w myśli pieszczę urocze leśne długodzióby. Toż samo dzieje się z czworonożną zwierzyną, ona za mną ciągnie, jak szczury za łapiszczurem, a tam, gdzie za mego gospodarstwa była jej obfitość, nowy nabywca po kilku latach skarżył się na brak zwierzyny. W Krakowskiem, w Karpatach i na Podgórzu, wszędzie miałem i ubijałem słonki. W r. 1849 osiedliwszy się w okolicy zimnych Podhajec, w obwodzie Brzeżańskim, dowiedziałem się, że tam tego polowania nie ma, gdyż tylko pojedyncze słonki się pojawiają. Po kilku leciech poznawszy lasy i odpowiednie miejscowości, wystudiowawszy czas i terminy ciągów, strzelałem 80 do 100 słonek rocznie. W r. 1857 zamieszkałem w Olejowie, gdzie polowanie na słonki wcale nie było znane i do tej chwili padło na tym gruncie 4082 słonek. Były lata obfitego ciągu, miernego i nader skąpego, bywały też lata bez polowania. Najkorzystniejsze były w roku 1872, bo ubito 495, w roku 1873 436, w roku 1869 398. Bywały ciągi, na których z wysileniem ubijaliśmy ledwie 80, 70, nawet 60 tylko słonek. Nawalne ciągi bywały zawsze w jesieni, na wiosnę zaś zwykle małe zdobycze przynosiliśmy do domu mimo troskliwego śledzenia. W przeciągu tych lat jedynie w dwóch wiosnach ubiliśmy wyżej stu słonek.

Łatwo tę zagadkę rozwiązać, okolica na dziale wód wysoko położona, obfituje w śniegi, gdy więc na nizinach już się znajdują owe ptaki w znacznej liczbie, to tu lasy jeszcze w śnie zimowym pogrążone, w jesieni zaś jako na kraniec lesistych przestrzeni z krzaczystemi pastwiskami, z rozrzuconymi lasami wśród łąk i pól, słonki przylatują jakby na dworce żelaznej kolei, oczekując pospiesznego pociągu czyli wiatru sprzyjającego podróży. Kilkakrotnie wydarzało się nam zupełne wybicie słonek, a po kilku dniach była znowu jeżeli nie większa, to ta sama ich ilość. Niekiedy zajęci polowaniem w innych lasach lub gospodarstwem, nie mogliśmy zwidzać ulubionych krzaków, to wtedy, bez przesady, naleciało tam 100 do 200 słonek tak, iż nieraz po południu nikt naboju nie miał i musieliśmy mimowoli powracać do domu. Najwyższa liczba ubitych ptaków w kilku godzinach była 68.

Skutek zły lub dobry polowania zależy od miejscowości nawidzanej przez słonki. Jeżeli z powodu zimna lub słoty zamieszkiwały lasy i strzelane były po drogach i linijach, to dawały nam nader słabą dziesięcinę, przeciwnie w dniach cieplejszych i na krzakach ponosiły straszliwe klęski. Mimo wrodzonej lękliwości i ostrożności, często nie wystrzelane wczoraj, dziś bywały ubite, widocznie nie miały odwagi wędrować z przeciwnym wiatrem, ani się przenosić do sąsiednich lasów. Gdym się już odważył opisać polowanie na słonki w Olejowie, to dodam jeszcze słów kilka o tegorocznym ciągu wiedząc, że Redakcya skwapliwie chwyta takie sprawozdania. Na wiosnę po łagodnej zimie, pojawiły się pojedyńcze słonki już 22. Marca. Koło 30. było ich znacznie więcej, a najlepszy ciąg odbył się miedzy 6. a 12. Kwietnia. Czas był słotny i chłodny, drogi śnieżno-błotniste, komunikacye z dalszymi lasami utrudnione, a na krzakach z powodu zimna słonek wcale nie było, ciąg był skąpy i z wysileniem ubiliśmy 29. Już minęły były trzy lata bez rozkoszy dla myśliwych, zdawało się, że ulubione ptaki obrały inny kierunek, omijając zabójczy dla nich Olejów; ale obawę uspokoił ciąg z r. 1885. Pierwsze pojedyńcze słonki pojawiły się od 21. Września do końca tego miesiąca, obfity ciąg począł się 5. Października i trwał do 26. 5. Października spotkaliśmy do 40, w tych samych krzakach 12. pojawiło się znowu 30, a 17. trzeci ciąg najobfitszy odbył się w tej samej miejscowości i śmiało twierdzić mogę, że mało która słonka zdołała na wschód powędrować. W innych krzakach wystrzeliwane trzykrotnie, ponownie zapadały, a na zboczy krzaczystej długości dwóch kilometrów przebywały od 28. Września do 25. Października, mimo srogiego prześladowania czterma polowaniami. Mili goście prawie przez miesiąc cały bawili u nas — ręka mi się trzęsie gdy piszę — w gościnie i zostawili nam na pamiątkę 223 poległych. Niewątpliwie byłoby zastrzelonych 300, gdyby myśliwi byli w większej liczbie i dobrze strzelający, my zaś polowaliśmy tylko we czterech, a często we trzech. Wprawdzie znamy stanowiska i ulubione przeloty, wiemy, gdzie zapadają i jak je gonić wypada, jednak znaczna liczba przeleciała bez strzału lub też za daleko od myśliwego. Rozumny to ptak, myślący i korzystający z doświadczenia, pozna on w krótkim czasie grozę niebezpieczeństwa, określi sobie sytuacyę, wzniesie się wysoko i zniknie z oczów lub też poszyje w dalekie mioty już niedostępne.

Słonki ruszane kilkakrotnie z hałasem i strzelane chybnymi strzałami, nie łatwo dadzą się ubić. Nader często na sam głos *tire-haut!* zrywały się, odlatywały daleko lub przez głowy chłopców cofały się w miot. Przypominam sobie w latach 1853, 1854 i 1855 słonki w Brzeżańskim obwodzie tak wyuczone, że z nami formalnie igrały. Na trzech pagórkach dosyć gęstych, zwanych Garbami, zapadały licznie, były przedzielone łączkami zasłanemi literalnie ich pierzem, otóż w czasie późniejszego polowania na pierwszy głos naganiaczów lub strzał, zrywały się i leciały do ostatniego *asylum*, gdzie spłoszone już w swiat daleki podążały i zaledwie po kilku dniach wracały na ulubione miejsca z ostrożnością jeszcze więcej wyrafinowaną. Słonki płoszone i strzelane niefortunnie można poznać z łatwością po ich zachowaniu się, nie tylko nie czekają na zbliżających się chłopców, lecz się zrywają tajemniczo, górują nad drzewami i lecą w dalekie mioty. Gdy spostrzegę taką słonkę, to na nią nie poluję i polować nie pozwalam, są to wyuczone ptaki, męczące nas nad miarę, zajmujące dużo czasu i chroniące się zręcznie od śmierci.

Ze wszystkich polowań umiłowałem najbardziej na słonki i mogę powiedzieć, że rzadko kiedy minęła jesień lub wiosna bez sumiennego prześladowania tych ptaków, zawsze połączonego z badaniem ich życia, zwyczajów i ciągu. Czy atoli studyum ornitologiczno-myśliwskie, ta monografia słonki, znajdzie uprawnione miejsce w „Łowcu“, czy łaskawi na mnie czytelnicy nie znudzą się i nie zawołają: jaki on nudny, jak się powtarza w tak oklepanym przedmiocie; niech rozstrzygnie Redaktor w własnym interesie, iżby naszych czytających myśliwych nie zniechęcić i naszego Towarzystwa nie uszczuplić. Myśliwstwo jest głęboką nauką wcale jeszcze nie zgłębioną, pełne tajemnic i zagadek, a dziwnie łączy ono ludzi różnych sfer, budzi sympatye, wytwarza koleżeństwo, posiada magnes pociągający silnie myśliwych ku sobie i siejąc swobodę gromadzi ich w zastępy, ożywione jedną myślą z wytkniętym jednakowym celem, z znanymi środkami, bez szkody bliźniego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Puszcze i knieje podgórskie w starożytności i wiekach średnich

przez

Szczęsnego Morawskiego.

(Ciąg dalszy.)

IX. *Tatry.* Tatra szczyt (8021 stóp) zwan też Wysoka lub Ganek, sterczy nad źródłami Popradu i Białki, w pośrodku niemal czoła gór zwróconego ku południu.

W około same *czuby* same *turnie* skaliste połączone *grapami* posiane *rypami* t. j. zwaliskami czub i turń z których tryskają źródliska Dunajca.

— (wogul:) *toit:* śnieg, *ur:* góra. Tatra więc to nazwa Wogułów fińskich oznacza śnieżną górę, białą tak jak

fenickie Alpy (*alben:* bielejące śniegiem), przejęte od Rzymian.

Łomnica może fenicka *jel-im-oth* t. j. koziorożców góra, kożicza. Turnie, to właściwie skały nadbrzeżne jezior górskich: *tu-ur*...

— *tu*, *tuu:* jezioro, *ur:* góra... (fenickie) *thur* wzgórze.

Rypy, to kondyjskie *rep:* góra.

Czuba, to ossecka nazwa skały — częsta na Kaukazie.

Dunajec, to jak się rzekło *dun*, *don*, rzeka podzisdzień w Ossetów krainie.

— *Kolta:* rano; *kotol*, słońce, dzień,

— *aach:* szczyt, wirch góry — *ur-ach*, pagórek —

— *ker:* żelazo... Wszystko wyrazy wogółosarmackie.

Kolbach — szczyt wschodni, sąsiad Łomnicy, w słońcu porannem najpierw jaśniejący: nie mógł on nabyć nazwy od Sarmatów, którzy go nazwali *Kolta-ach* t. j. słoneczną górą?

Gerlach zaś dzisiejszy, może to sarmacki *Ker-aach*, żelazna góra?

Aach, *Ach*, — po dziś dzień w Alpach salcburskich znaczy: alpejską dolinę z wodospadami jak n. p. dolina rzeki Acha i Taur-ach z jeziorami. Tam przez Dunaj zdążali Sarmaty w Taury, od Dunajcowych turni i Achów. Trop człowieczy wyciśnięty tu w nazwach skał wlany w nazwy rzek słynących po obu stronach Tatr. Wiedzie od wschodu na zachód południowy ku Taurom i Alpom, a między innemi znamionują go jaskinie. Zdybiemy ich nieraz idąc śladem — pod trop.

Ścieża jantarowa (burstynowa) fenicka:

Magury dwie, orawska i spiska, u podnóża Tatr od wschodu i zachodu znamionują cestę fenicką ku ujściu Wisły — od Dunaju na Tręczyn, Orawę doliną Orawicy do Magury i Ornaku, kędy szukali srebra w Starej robocie na Banistem. Milczenie przyrody martwej poddało im nazwę gór, które nazwali *duma-im* t. j. ciche. Jest to Tomanowa obok Cichego wirchu.

Dążąc ku tym szczytom przyszli do skał na skręcie gór, zkąd w całej pełni okazały im się Tatry wysokie. Więc miejsce przezwali *Bab-nogod:* bramę szczytową — dziś od nieuctwa zwane Babienogi!

Wirchami zdążyli do Czuby (Goryczkowej) i jeziorek w dolinie okrytej lasem jaworowym. Znaleźli tam ślad kruszcu w miejscu zkąd wypływał potoczek z pomiędzy łomów i nazwali *pe-jor* t. j. usta potoczka, dzisiejsze Piro, Piargi.

Tam kopali — (fen. *gob*, kopać) i mieli *magurkę* gospodę — które miejsca po dziś dzień zwą się Kopa, Kopieniec, Magurka, kędy na Jaworzynie kopalnie żelaza zakopańskiego. Zakopane, znać leżało za temi kopami fenickiemi, znak że zdążali od południa.

Góra zachodnia wspaniała ogromem, po południu gdy się słońce zniża wydaje się zupełnie srebrzystą; każden to widzi z Zakopanego.

Fenicy, myśliciele nazwali ją też srebrzystą: *kosef*. Jest to dzisiejsza Koszysta, Żółta turnia.

Za nią ujrzeli wodospad więc nazwali *Sik-labn*, wodospad biały: jakoż od piany cała bieleje Siklawa.

Magura ta górników fenickich, pierwotna była samorodną, bo pieczarą w turniach Kopy, na wysokości 4.300 stóp, długa 100, szeroka 50, wysoka 40 stóp wapienna ociekająca, istniejąca dotąd z szczątkami niedźwiedzi, jeleni i sarn. Jaworowa więc puszcza górska była ożywioną zwierzem rosochatym a niedźwiedź jak dzisiaj w kosodrzewiny splotach nieprzebytych miał gawrę bezpieczną. Wilcy włóczyły się też jak świadczy nazwa polany bliskiej Wołczysko. Głuszce i cietrzewie lęgły się skoro się lęgną i dziś, a na skałach niedostępnych gnieździły się orły i sępy — jako dzisiaj. Wondy jednak życie w kniei było gwarniejsze, w cieniu jaworów i limby. Człowiek grzebiąc w wnętrznościach ziemi rad nie rad był łowcą, dla pożywienia i obrony. Turnie więc były ciche ale nie martwe. Kozice i koziorożce skakały po cichych rypach, czubach i turniach spłoszone napaścią sępa ogromnego, bo niedźwiedź lub wilk nie zdołał ich ubiegnąć. Niedźwiedź miał też żeru podostatek w jeleniach w kniei jaworowej, w bydle, koniach, owcach i kozach, które Sarmaci pasali po halach; więc też dla odmiany żerował na podhalu w dąbrowach (Dębno...) i cedrowych puszczach nad jeziorem Dunajca, lubując sobie w żołędzi i orzechach szyszkowych limby. A były tu leśne puszcze ogromne, mianowicie limby (czyli cedru), której kłody waliła burza w potoki a lić i powódź unosiła do jeziora przymulając i okrywając zielskiem i mchami ażeby po tysięcach lat świadczyły o przyrodzie minionej.

W klasztorze Kingi w St. Sączu, posadzka na chórze zakonnic jest z limby przed dwiestu lat wydobytej z borowin nowotarskich. Dziś limba tylko gdzieniegdzie wyrasta z pośród kosodrzewiny, podziwiana jako osobliwość. Wondy stała puszczą gęstą a Sarmaci jako w dawnej swej ojczyźnie nad Donem i Dnieprem, tak i tu karmili się tłustemi jej orzechami. Niedźwiedź drużbił im w lesie więc go — jak Fenicy od jaskiń — oni też zwali maruchą t. j. leśnym — od wyrazu swego *ariuch:* las. Tak potomkowie ich wynarodowieni po dziś dzień zwą go w podgórzu panońskim. Maruszyna w bok od Szaflar, wskazuje matecznik jego.

Szaflary same, przez osadniki bawarskie nie nazwane lecz tylko zniemczone: bo Skałka szaflarska jest samorodnem schroniskiem chudoby i człeka przed napaścią maruchy, którego nazwa sarmacka *hoba* pozostała dźwiękiem w Habowce... Hubie. — Tutaj r. 1241 przed Tatary chronili się Cystersi z Ludzimirza.

Fenicy górnicząc potrzebowali koni jucznych i psów co w skórach wieprzowych zwłóczyły na dół kruszec wykrzosany. Konie i bydło, ulubiona strawa niedźwiedzi, przed któremi nie obroniły psy sierdziste. Człowiek musiał tu bronić konia, musiał dla chudoby utworzyć schronisko bezpieczne a od kopalń niedalekie; musiał założyć obóz obronny.

Madejowa chata w wapiennej uboczy Sarniej skały, w kończynie dolinki z pieczarą, wskazuje miejsce obozu tego w podnóżu Gewonta na Świnnicy małej.

— (fenick.-arab.) *madan:* kopalnia;

— (fenick.) *muade:* schronisko;

— „ *mad:* odzienie bojowe, rząd na konia;

— „ *math:* wojak.

Było to schronisko wojenne, nie tylko od zwierza dzikiego, ale i od ludzi od Azów jezdnych *(jatneeks)*, którzy swe „*bastneek*“ t. j. zagony zapuszczali ku Pannonji jako znani w dziejach i osławiani Jacygi, Jaćwierz i Basterny. Na północ jeziora Dunajcowego w puszczy niedźwiedziej (Huba, Habowka) mieli swój obóz (Madejówka) na górze, śledząc rychło Fenicy przybędą do spławu dunajcowego Maniów aby ich napaść i złupić.

*

Poronin — znan Ptolomowi, który go jako Pariennę (pod 40° 0′ długości a 49° 20′ szerokości) naznacza na cieście jantarowej o 6 mil od Orawy *Arsicua*.

Od R. p. 21. przez lat trzydzieści łotewski królik od Rzymian uwieńczony *(Wajnaks)* panował, skarby zbierał, w międzyrzeczu Morawy a Wagi; aż się to sprzykrzyło Sarmatom starym, którzy r. p. 51 w połączeniu z górnikami *(Her-munduri)* i Lachami *(Ligoi)* porazili najprzód jazdę Jacygów, potem i piechotę Kwadów zwiedzioną z twierdz i zawad — (łotew.) *kaweetes* — i państewko rozdzielili między Wangia i Sydona, siestrzeńce króla wygnanego. Wojny te przerwały związki kupieckie z krainą jantaru... i to są lata istnienia obozów: Madejowa chata i Madejówka.

R. p. 60. Nero cezar, za kupnem jantaru, z Karnutu słał Juliana pułkownika gladiatorów, a Ptolom astronom oznaczył miejsca, którędy zdążał Juliusz ku ujściu Wisły... a oznaczył dokładniej niż do niedawna oznaczano kraje w Europie na mapach stulecia zeszłego i niniejszego.

Dunajec, rzeka Sarmatów, którzy nad nią mieli grodek Dunajec. Niedzicą nazwan przez Łotwę — od trzciny (łotw.) *needra*, której zaroślami otoczon był. Skały nadbrzeżne ściskają tu rzekę, a oberwiska piętrzące wskazują, że tu ongi była zapora skalista, próg tamujący rzekę. Dotąd sięgało jezioro dunajcowe, którego dno stanowiły dzisiejsze pustacie borowin (torfowiska) ciągnące się 3 mile wzdłuż 2 wiorsty wszerz. Jezioro dunajcowe nieznaczną wyżyną oddzielone od jeziora Orawy czarnej i w odwieczności tworzyły obie rzeki jezioro wspólne, przyrody jednolitej.

Trstenna t. j. trzciniasta — orawska, na wschodzie była taką jak zachodnia Needryca. Zubrzyca z Zubroniawą, Jeleśna potok, Sarnia, Podwilk i niedaleka liptowska Bobrowica: znamionują puszczę nad jeziorem Orawy. Nad Dunajca jeziorem od północy, Chabówka. Niedźwiedź szczyt Jaworzyny ciągnącej się przez całe pasmo Gorczów, wskazują: że ta Rzymianom znana puszcza zwana *Horcinia silva*, była puszczą jaworową, pełną niedźwiedzi, których matecznik niżni oznaczon Hubą naprzeciw Dębna. Jaworzyny zaś są ulubioną knieją jeleni.

Nad jeziorem samym od północy były puszcze cedrowe czyli limbowe, nad potokiem Łopuszną, gdzie gronik Cedermo (370 siąg wied.) wedle potoka Knurowa, pieleszy świń. Oto północne wybrzeże jeziora, ciepłe, suche, pełne jeleni, sarn, niedźwiedzi i dzików...

(Ciąg dalszy nastąpi).

PAN PREFEKT

PRZEZ

ALEXANDRA UBYSZA.

Nikt nie zaprzeczy, że w dawnej Polsce, a w części i teraz „sąsiad i dziad“ mają pewne przywileje. Pierwszemu i drugiemu wolno bez usprawiedliwienia się wstąpić w dom sobie nieznajomy. Wedle dawnego obyczaju sąsiadem zwał się nie ten jedynie, co mieszkał „o miedzę“ lub należał do owieczek tej samej parafii. Dawniej mianowano sąsiadem nawet tego, który tak daleko mieszkał, iż bez popasu zajechać w gościnę nie mógł.

Mieszkałem przez lat kilka w ziemi samborskiej, byłem bowiem posiadaczem części dóbr Turze, składającej się z $^1/_{34}$ części Mszaneczczyzny i $^1/_{69}$ Horodyszczyzny, również z jakiegoś ułamku Bielańszczyzny i t. d. Majątek mój, złożony z 68 morgów lichej górskiej ziemi, był zlepkiem z przytoczonych wyżej cząstek i cząsteczek niegdyś dużego majątku, który w skutek rozrodzenia się familii Horodyskich rozdrobił się, na wzór leku homeopatycznego, do najsubtelniejszych, a nawet niewidzialnych rozmiarów. Otóż rozsiadłszy się na mej majętności, skończywszy siew żyta ozimego w ilości 10 korcy na 14 odległych od siebie parcelach — co było robić w domu? Czasem schwyciwszy strzelbinę wychodziłem na „działy“, gęsto jałowcem porośnięte, „Korolikami“ zwane i biłem kwiczoły albo stłumiłem jakiego nędznego zajęczynę, gdy go złe losy aż na ów grzbiet wysokiej płaszczyzny zawiodły. Często też robiłem dalsze w głąb gór wycieczki, w dziką, nie zaludnioną a leśną i górzystą okolicę. Ileż to tam znajdowałem wspaniałych widoków, godnych pendzla najznakomitszego artysty. Jakież to tam prześliczne miejsca nad rzeką Stryjem, owe jary o skalistych brzegach, porośniętych świerkami? Zielono tam, wonno, cicho, a dziko. Zwierzyny gęsto, byleś się skrył w zaroślach, posiedział chwilę spokojnie, wnet ujrzysz stadko sarn wolno kroczących z nastawionemi w górę łyżkami, dążących środkiem jaru do potoku, a gdy ugasiły pragnienie i poskubały na zakąskę rzeżuchy wodnej, u brzegu rosnącej, wracających znowu w tym samym szyku, z starą kozą na czele. Niekiedy zwłaszcza po bekowisku, dojrzysz pysznego rogala jelenia, który porzuciwszy stado, samopas po górach chodzi. On także poił się kryształowemi strumienia falami i widział w czystem owych wód zwierciadle wspaniałą swoją postać. Jeśli gości on w tych stronach, zasiądź wieczorem nad potokiem, uzbrój się w cierpliwość i zachowaj się spokojnie, bo nader ostrym jest słuch jelenia, a ujrzysz go niezawodnie i strzelisz lub nasycisz wzrok i duszę myśliwską uroczym widokiem. Nie zwykł jeleń chodzić jak inny zwierz wolnymi i przystępnymi szlakami, dobrze naprzód okiem i węchem zbadawszy miejcowość, zjawia się nieraz u stromego urwiska w dół się spuszczając czyli raczej zsuwając przysiadłszy na zadzie. Jeśli szczęśliwy przypadek przywiedzie ci go na strzał, mierz dobrze w pierś, gdy wyszedł na sztych, w komorę, jeżeli na połeć, nie pora wtedy szukać dogodniejszego strzału, bo gdy się jeno ruszysz, wnet zniknie ci rogal jak senne zjawisko.

Tak to zjawił mi się rogal i to pyszny na jednej

z wycieczek w głębokie góry, po za wsią Rybnikiem. W miesiącu Lipcu pojechałem z przyjacielem moim O. do Rybnika, on w interesie służbowym, ja zaś w celu widzenia olbrzymiego tartaku parowego. Kiedy trzeba było już iść pieszo, to lubo wtedy nie znałem owych gór, szedłem śmiało, bo miałem doskonałego przewodnika Pyłypa. Znała go jako takiego cała okolica, on też sam czuł swoją wyższość. Znał on wybornie cały Beskid po naszej i węgierskiej stronie, umiał się znakomicie orjentować w ciemnych lasach i w labiryncie dróg, ścieżek, przesmyków. Znanym on był nawet we Francyi, w Belgii i w Niemczech. Lasy owe, rozlegające się na obszarze 40.000 morgów, były naprzód własnością rządową, kameralnymi, potem zakupił je Forst-Bank, który znowu odprzedał je kompanii francuzko-niemieckiej, pod firmą barona Liebiga. Jako las dziewiczy zwabiał on ku sobie kupców z całej niemal Europy. Pyłyp był przewodnikiem dla tych cudzoziemców, każdy z nich przybywszy w to miejsce udawał się wprost do niego po informacye. Był zatem ów stary, bo już przeszło 60 letni góral osobą istotnie europejską. Siedzibą jego, gdzie posiadał grunt i chałupę, była wioska Łastiwki. Tam mieszkała żona jego z dorosłemi już dziećmi, on zaś trzymał się Rybnika, przy tartaku, nie przyjmując wszakże jakiegokolwiek stałego zajęcia. Był tylko przewodnikiem, która czynność zdarzała się często, a gdy jej nie było, włóczył się ze strzelbą po lasach, czego nikt temu istotnemu królowi Beskidów nie wzbraniał. Gospodarstwem się nie zajmował, nie handlował też zwierzyną, sprzedawał tylko skóry wilcze, rysie i niedźwiedzie. Uchodził za bogatego, fama głosiła, że miał sporo grosza, a jakkolwiek licha gleba pól jego wydawała tylko owies i trochę żyta, rodzina jego jadała codziennie „pszenyczne tisto“ w postaci „hałuszek“ (klusek) lub pierogów „zo samym syrom“ t. j. bez przymieszki „gajdiw“ (ziemniaków). Gdy Pyłyp raczył mi towarzyszyć w wycieczce, wielce dziwili się robotnicy tartaku i urzędnicy. Nie w nadziei sutej zapłaty, do której był przyzwyczajony przez cudzoziemców, lecz ot tylko dla fantazyi, a głównie, jak sam powiedział, żem mu się podobał, oświadczył chęć towarzyszenia mi. W czasie pochodu wszczęła się gawędka. Pyłyp był istotną kroniką żywą tego tak zwanego Podbuzkiego państwa, do którego też Rybnik należał. Rozmawialiśmy po rusku. „Oś tu — opowiadał — bude tomu lit sorok, dyk szełepnuw syna oberleśnyczoho, taj pomer. Dyczysko trafywszy w żywit, obmotaw kływaki swoi kiszkamy jeho, daleko w lis powolik sam mertwy upawszy, bo mołodczyk trafyw ho pid rebro, ino że puszka miahko była, to nedorazu upaw.“ W owym znów jarze psy osaczyły jelenia, dopadł go niemiec leśniczy chcąc zadać mu kordelasem cios śmiertelny. Ufny, że zgoniony jeleń rozparł się, zbliżył się doń niebacznie, i padł z rozprutym brzuchem, aż wnętrzności zeń wypadły. Uczynił to jeleń nie rogami, lecz ostrą racicą swego przedniego badyla. Śród tej rozmowy doszliśmy do miejsca ponurego i dzikiego, najeżonego skałami, gdzie według opowiadania Pyłypa niemniej tragiczna odbyła się scena. Przed laty gajowy poszedł po służbie w las i nie wrócił już do domu. Kilkakrotne obławy w celu odszukania zaginionego były bezskuteczne. Dopiero po dwu latach znaleziono przypadkowo podczas polowania kościotrupa, w którym po resztkach stroju i po strzelbie poznano owego gajowego. Pieczara, przy której go znaleziono, była gawrą niedźwiedzią, a ponieważ strzelba była nienabitą, więc niezawodnie gajowy strzelił, chybił i padł w objęciach niedźwiedzia. Wiele takich przygód myśliwskich opowiedział mi Pyłyp. Stanęliśmy wreszcie u stóp krętego potoku śród szerokiego jaru z wysokimi brzegami wijącego się. Rzecze do mnie Pyłyp: „Choczete baczyty a może i strilaty ołenia, to stańte ot tu w huszczawyni a tycho, win z dawin dawnosty — sam ho tiamiu (pamiętam) lit kilkanajcit — wychodyt s południa poity sia i kupaty.“ Staję tedy cicho, nawet ulubionej nie kurzę fajeczki, ale nawet mysz nie wychodzi. Przerachował się — myślę sobie — tym razem mądry Pyłyp, lub może obrał sobie gdzieś lepsze stanowisko, a mnie jako fryca tu ulokował, abym mu nie przeszkadzał. Patrzę i słucham, ale napróżno. Naraz może o 200 kroków zaszumiały krzaki olszowe i zjechał w dół ogromny rogal. Strzelać za daleko, więc podchodzę okryty wikliną. Widzę go, przykładam strzelbę, ale jeleń jednym ogromnym susem znikł w gąszczu. Wiedząc, że spłoszony jeleń nie rychło znowu w tem miejscu się pojawi, zahopkałem na Pyłypa, który, gdy mu całe zdarzenie opowiedziałem, zburczał mnie za moją krew gorącą dodając: „Buło zażdaty (poczekać) winby podłe was perechodyw.“ — Dobryś — pomyślałem — albo ja to tak często jak ty widywałem jelenia, abym się mógł pohamować.

Ale przepraszam za dłuższy nieco opis Pyłypa i wracam do zamierzonego celu, mianowicie do podróży mojej do Ilnika, wsi a raczej osady szlachty szaraczkowej. Nasłuchałem się od Pyłypa i wielu innych wiele opowieści o sławie łowieckiej prefekta osady szlacheckiej Ilnika Ilnickiego. Ruszam tedy wózkiem przez wsie Isaje, Jaworzec do górskiej stolicy Turki, słynącej z jarmarków na woły, po które kupcy z dalekich stron kraju ciągną. Górale tutejsi mówią odmiennym od górali sanockich dialektem, np. na zapytanie, dokąd dążą nie odpawiadają *do*, lecz *w* Turku. Konie moje popasły w grandhotelu p. Schächtera, który sam o sobie z dumą mówi, że „handluje z winem (w istocie ogromną posiada piwnicę), z wołem, nu, ze wsistkiem.“ Wózek, który się był dobrze wypłukał czterokrotnem a koniecznem przebywaniem rzeki Stryj w bród, nielicząc częstych przejazdów przez potoki, posmarował gapiowaty Iwaś, więc ruszam do wsi Ilnika, o milę od Turki oddalonego. Inną mają postać wsie chłopskie, inną osady szlacheckie. Domki *antiquo more* pod słomą, z ganeczkami na dwóch słupach, dalej budynki gospodarskie, ale brak owej ozdoby obejść wiejskich, studni z żórawiem, zastępują je potoki wijące się środkiem wsi. O dworek — broń Boże nazwać go chatą — pana Prefekta wnet się dopytałem, stał on w potoku, ocieniony gęstą i wysoką olszyną. Walę tedy w otwarte podwórko, śmiało jako sąsiad chociaż z popasem i wchodzę do sionki, z której niskie drzwi wiodą do świetlicy. Wieczór był jesienny, płonący na kominie ogień olśnił światłem alkowę i postać gospodarza słusznego wzrostu. Długie, siwe włosy i takaż broda świadczyły o podeszłym wieku, lubo nie znać go było w wyprostowanej postawie i rumianej twarzy. Na moje „niech będzie pochwalony,“ odpowiedział „na wieki,“ silnym, męskim głosem. Był on prefektem czyli wójtem szlacheckiej osady. Sprzęt w izbie i przyległej alkowie był skromny i prosty, kanapka biała, niepolstrowana, ani malowana, takiż stół, na nim spory plik papierów, w kącie stos Reichsgesetzblattów. Ściany obwieszone obrazami świętych, śród nich większych rozmiarów obraz z napisem: „Bohorodycia diwo raduj sia“, nad nim lampka. Z jednej strony

drzwi stała duża szafa otwarta, w której mieściły się oparte o ścianę białe farfury i miski. W alkowie ujrzałem łoże, przykryte kapą z czarnej, wełnianej, grubej materyi, jakiej górale używają na czuhonie, a szlachta na kapoty z kołnierzem z czarnego sukna. Nad łożem wisiały ciężka, ogromnego kalibru dubeltówka, krzywa starej daty szablica z pochwą starannie wypolerowaną, czaprak barani, obwiedziony granatowem i białem suknem. Przy łożu była duża żelazna skrzynia, przy której dwie staroświeckie kłódki. Gospodarz mój był niegdyś wojskowym. Przyjął mnie potężnym haustem gorzałki, a na zakąskę chlebem i solą. Smutny miał wyraz twarzy, ale przy gawędce rozweselił się. Niebawem wniesiono wieczerzę, dużą misę schabu dzika, otoczoną jaglaną kaszą i czyr (lemieszka) owsiany w zimnem mleku. Po wieczerzy zakurzywszy lulki poczęliśmy gawędzić, a miła to była, a nawet nauczająca gawędka z człowiekiem, co siedm i pół krzyżyków na barkach nosił, wiele widział i wiele doświadczył. Sypały się gęsto przysłowia i przypowieści, które łowiłem skwapliwie. Znakomity nasz J. I. Kraszewski mówi w powieści: Poeta i świat. Poznań 1839 str. 35: „Tacy ludzie lubią namiętnie przysłowia, które gotowemi będąc do użycia, dając się stokroć nakręcić, bardzo im się przysługują. Gdzie nie ma myśli, tam może być przypowieść, jest to bardzo wygodnie, dla tego zapewne przysłowia zwą się mądrością narodów, chociaż wcale czego innego dowodzą.“ Mimo głębokiej czci, jaką przejęty jestem dla nestora naszych pisarzów, ośmielam się nie zgodzić z jego zdaniem. Przysłowia lub przypowieść trafnie zastosowane są skrystalizowaniem myśli mówiącego, są treścią ducha narodu, jego duchowej w ciągu wieków pracy, słusznie przeto skarbnicą mądrości nazwane być mogą. (Dokończenie nastąpi).

MYŚLIWSTWO W SYBERYI

Wspomnienia z tajgi Jenisejskiej.

PRZEZ

Dra JANA JODŁOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Głuszec. Zamieszkuje daleką północ bardzo też często spotykałem się z nim, lubi miejsca niskie, obfitujące w jagody, na toki wybiera się wyżej, gniazda miewa u podnóża gór, zwykle nad rzeczkami lub strumykami. Wspaniałą jest postać tego ślicznego i wielkiego ptaka, gdy idzie. Spoczywając raz nad brzegiem małej rzeczki, widziałem całe stado maszerujące do wody, zaledwie o kilkanaście kroków odemnie, tak były piękne, że nie mogłem strzelić do nich zapatrzywszy się, rzetelniej powiedziawszy zagapiłem się na defilującą z poważnym samcem na czele z 20-tu przynajmniej sztuk złożoną watagę. Często zdarzało się, iż wyszedłszy na polowanie w czasie odpowiednim dla młodych głuszców, biłem ich tyle, iż nie mogłem przynieść wszystkich do domu. Zostawiałem więc część zdobyczy na drzewie zawieszoną w znanem mi miejscu, by później powrócić po nią. Jak w tajdze z psem odbywa się polowanie na głuszce, zwłaszcza gdy się strzela ptaki w lot, to prawie nie do uwierzenia dla naszych myśliwych. W miejscowości, gdzie można zastać zwierzynę, psa zawsze prowadzi się krótko. Mój Trezorek jedynie do głuszców zacinał się dobrze, a czasem stawał jak należy. Gdy się podjęły, wybierać trzeba stare, w takim razie młode nie ulatują dalej nad 200 do 300 kroków i zapadają na jednem drzewie, najczęściej na brzozie – iglastych nie lubią. Pies idzie i głosi za nimi, dopadłszy drzewa zajętego przez głuszce, siada pod nim wygodnie i głosi od czasu do czasu, myśliwy skrada się ostrożnie i (co mi się często zdarzało) podchodzi nawet na 50 kroków do drzewa zajętego przez głuszce, które całą swą uwagę zwracają na naszczekującego psa, wówczas dubeltówka na hak a gwintówka w rękę i spuszcza się po kolei każdego najniżej siędzącego głuszca. Bywało, iż ze stadka, pozostawały 2 lub 3 ptaki, reszta spadała. Pies nie powinien nigdy dotknąć się spadłego ptaka, bo to straszy pozostałe. Mój poczciwy Trezorek zawsze miał tę cnotę, że nigdy nie szarpał często jeszcze podskakujących głuszców, a szczekaniem i krążeniem około drzewa znakomicie zwracał ich uwagę na siebie tak, iż przy nim bliżej jeszcze podchodziłem do głuszców.

Włościanie łowią głuszce na pasti przeważnie, dając na przynętę czarne jagody lub jarzębinę. Pierwszy raz gdym się spotkał z głuszcami, zabiłem starego, później młodą kurę, a ponieważ jeszcze nie była dorosłą, nie wiedziałem co zacz? zapytałem gospodarza, u którego mieszkałem, co to za stworzenie; śmiejąc się z mej nieświadomości odpowiedział, że to kapałucha. Ponieważ to nie wyjaśniło mi rzeczy, zapytuję znowu, co to kapałucha? Gospodarz mój zamyślił się, widocznie kombinując, nareszcie tak się odezwał: „znasz brat u mienia choziajku?“ — „Nu da“, odpowiadam — „Isz to głucharewa choziajka“ (wiesz bracie, u mnie (żona) gospodyni, — rozumiem, odrzekłem, — widzisz to głuszca gospodyni.) Za tak jasne tłumaczenie tylko podziękować należało, co uczyniwszy zabrałem się do oskubania i zasolenia zdobyczy na zapas w dniach pracy. Dodać tu muszę, iż pracując w początku mego tam pobytu kosą lub siekierą przez dwadzieścia kilka dni, resztę miesiąca mogłem i musiałem poświęcić polowaniu lub łowieniu ryb, by sobie zaopatrzeć spiżarnię na przyszłe dni pracy a zarazem wypocząć i nabrać sił.

Zimą podczas silnych mrozów, całe stado głuszców i cietrzewi zbija się razem i siedzą w śniegu jak nasze kuropatwy, często zadymka przysypuje je zupełnie. Siedzą tak po całej dobie, gdy zadymka nie ustaje, zostawiając sobie otwór w stronie przeciwnej wiatru. Gdy myśliwy je tak spotka, padają po kilka na jeden strzał.

Na toku, udawało mi się brać głuszce z gwintówki, można było podskokami dojść łatwo do tokowisk na strzał, pilnując tylko przy posuwaniu się czihitania.

Cietrzew ostrożniejszy od głuszca, nader baczny, co w okolicy się dzieje, z trudnością daje się podchodzić. Najłatwiejsze polowanie z wyżłem na młode, gdy się pie-

rzą, na toku zaś najlepsza zasiadka w budce z bałwanami (czuczeła) t. j. albo wypchanymi ptakami, lub z drzewa wyciosanymi i umalowanymi na podobieństwo cietrzewi. Takie bałwany w miejscach, gdzie są cietrzewie, tykami zawiesza się na drzewach ogołoconych z liści i zasiada się w budkach. To polowanie odbywa się w towarzystwie, bo prócz strzelców na zasadzce trzeba jeszcze ludzi do naganiania, co spełniają myśliwi zmieniając się. Próbowałem na łyżach podchodzić, okrywszy się szczelnie z głową białem prześcieradłem, po razu tylko udawało mi się podejść całe stado, a że na raz tylko dwa strzały dać można i to nie zawsze pewne, więc nie próbowałem więcej. Czasem urządzają się sanki, t. j. narty, obstawiają do koła gałązkami jedliny lub świerku i we dwóch myśliwych pchają ostrożnie i bardzo powoli, ale i to niepewne. W pasti łapią się również rzadko, jakoteż w zwykłe sidła.

Jarząbek zamieszkuje bardzo licznie całą Syberyę, aż prawie do Tundr, gdzie się poczyna kosodrzewina. Jest on ofiarą wszystkich drapieżników nie wyjmując i naszego rodzaju. Smaczny ten ptak łowionym bywa na sidła, w pasti, strzelanym też na spotkanego lub z wabiem. Wabik przygotowuje się z kości lotek, lub nogi głuszca albo cietrzewia. Dobrze przyrządzony wabik, gdy się umie wabić, nigdy nie zawodzi. Strzela się go półnaboikami, bo można na kilkanaście kroków doń podejść. W tajdze około kopalń złota jest ich tak obficie, że wyszedłszy na nie, nie powraca się nigdy z próżną torbą. Najwięcej bije się ich w drugiej połowie Sierpnia i we Wrześniu, później wielkie śniegi i mrozy stanowią przeszkodę. W zimie trzymają się najczęściej gęsto zarosłych iglastemi drzewami wąwozów, szczególniej zasłoniętych górami od wiatru północnego (siwieru) zwłaszcza jeśli w pobliżu jarzębina rośnie.

Jarząbek gdy zoczy niebezpieczeństwo, przypada bardzo szczelnie do gałęzi, na której siedzi — a ponieważ barwa upierzenia nie wiele się różni od koloru kory, z trudnością go na drzewach upatrzyć można tembardziej, że wybiera najgęściejsze gałęzie, zimą jeszcze trudniej, bo śnieg leżący na gałązkach, zgina jedne ku drugim, tworząc jakby namioty nieprzebite wzrokiem, w które właśnie sprytny ptaszek najchętniej się chroni od prześladowców.

Pardwy (innych kuropatw nie spotykałem) są dość częste, daleko na północ w całej Syberyi. Łowią je często nad strumykami, gdzie pić przychodzą lub strzelają.

Łabędzie (Lebiedi). Wspaniały ten ptak gnieździ się dalej na północy, widywałem go tylko w przelocie, nadzwyczaj ostrożny, nigdy nie pozwala się podejść na strzał, ni podjechać łodzią; zmęczony zapada zwykle na środek rzeki. Widywałem stada najwyżej z kilkunastu sztuk złożone, poważnie pływające. Za zbliżeniem się łodzi na paręset kroków, zbijają się razem, przypatrują podniósłszy głowy i zrywają się w dalszą drogę, szukając bezpieczniejszego odpoczynku.

Gęsi nad Jenisiejem i w ogóle nad wodami Syberyi, osobliwie na tundrach (błotach) na północy niezliczone mnóstwo, tam bowiem na lęg w końcu Maja i na początku Czerwca lecą, a następnie w początku Września wracają. W miejscowości, gdzie byłem, nie gnieździły się, polowałem więc tylko podczas przelotu i z trudnością udawało się zabić jakiego pasażera. Zapadają zawsze na brzegu gołym, odkrytym, zawsze na dalszy dystans od krzaków, lub czegokolwiek, co mogłoby służyć myśliwemu za zakrycie. Prócz tego rozstawiają czaty, które znakomicie pełnią swój obowiązek, zwykle na pagórkach lub miejscach nieco wyższych tak, że pikieta może doskonale śledzić okolicę. Podsuwałem się nieraz, pełznąc nadzwyczaj ostrożnie i powoli udało mi się tylko dwa, na dwadzieścia razy, zbliżyć się na strzał i otrzymać nagrodę za trudy, zresztą zawsze bywałem dostrzeżony przez czaty. Spostrzegłszy ruch niespokojny pikiety, pozostawałem w spokoju, plackiem na ziemi, zaledwie od czasu do czasu unosząc głowę, by śledzić śledzącego mnie jeszcze lepiej strażnika, który stał z wyprężoną szyją, z główką zwróconą ku mnie, przy pierwszem mojem choć bardzo nieznacznem naprzód posunięciu, strażnik wydawał głos, a cała chmara zrywała się w dalszą podróż, a ja podrapany, zmęczony zostawałem na miejscu, przybierając wygodniejszą pozycyę, bo leżałem nieraz kwandrans i dłużej, a będąc na jakie 200 kroków od stada, widząc je doskonale, łykałem ślinkę, jak ów Mekita na winogrona, niestety! najczęściej napróżno, w dodatku wyrzucałem sobie brak wytrwałości, cierpliwości i robiłem wnioski, jak trzeba będzie w przyszłym wypadku postąpić. Pisząc to i wspominając te przejścia, szczery śmiech mnie bierze, boć zabawnie musiałem wyglądać przy tych mądrych ptakach, które swą czujnością niegdyś Rzym zbawiły.

Kaczki. Tych w Syberyi jest niezliczona ilość, najrozmaitszych gatunków, są takie, których i w bogatych gabinetach zoologicznych nie spotykałem. Najwięcej leci kaczek na lęg na tundry, t. j. błota i trzęsawiska w okolicy Turchańska i po za tem miastem ostatniem na północ po biegu Jenisieja, aż do Tołstego nosa, t. j. ujścia tej wspaniałej rzeki do oceanu lodowatego, w tych miejscach już tylko kosodrzewina. Tam to gnieżdżą się i erdredony i tam takie ich mnóstwo, że gdy nadchodzi czas łowów, kijami je zabijają Tunguzi i Samojedzi. Gdy po lęgu, na który z południowych krajów przybywają na północ, rozpocznie się pora łowów na kaczki, co zwykle z końcem Lipca lub z początkiem Sierpnia się dzieje, wówczas wszyscy kto może spieszy w bój z kaczkami, wymyślając najrozmaitsze fortele. Podczas przelotu kaczek na lęg i gdy następnie z lęgu wracają z północy, używają do wabienia bałwanków (czeczuła) z drzewa pomalowanych dość zręcznie, przedstawiających różne gatunki kaczek. Po kilka takich egzemplarzy, w miejscu zacisznem, dość odległem od wsi lub miasta, puszcza się z łodzi na 20 – 30 kroków od brzegu na wodę, na sznureczkach odpowiedniej długości z kotwicą albo kamieniem na drugim końcu uczepionym. Na brzegu buduje się szałas z gałęzi i myśliwy w nim zasiada, czasem z wabikiem. Stado lecąc spostrzega bałwanki i zapada na to miejsce. Tuż po zapadnięciu, dopóki stado zgrupowane, myśliwy strzela i kładzie po kilka a czasem i kilkanaście sztuk, obarczoną goni łódką po rzece i znów zasiada wyczekując nowego transportu zdobyczy. Czasem zdarza się, iż czekając długo, znudzony zaśnie, kaczki zapadną i rozbudzą go głośnem kwakaniem, gdy się spostrzegą, że bałwankami zwiedzione, wówczas zrywają się wygłaszając zapewne swe niezadowolenie. Byłem raz obecny przy takiej scenie, nie w szałasie, lecz obok w lesie, bez broni i widziałem nader pocieszną minę spiocha myśliwego. W okolicy gdzie byłem, kaczki gnieżdżą się zwykle w zatokach rzek, jeziorkach i rzeczkach tajożnych o brzegach zarosłych i na wysepkach dość często na Jenisieju spotykanych (Jenisiej w miejscu gdzie byłem wysłany, miał już trzy wiorsty szerokości). Zatoki głęboko w ląd

wchodzące i rzeczki tajożne a nawet jeziorka, mają zawsze jakąś wązką przestrzeń czystą przy brzegach zarosłych tatarakiem i trzciną, te właśnie wybierane są do łowów. Gdy już są podloty, w dostępniejszych jeziorkach łowią je włokami (siecią jak na ryby). Rozpinają takowe gdzieś w szyi jeziorka i w kilku naganiając drągami po brzegach, spędzają kaczki do sieci a następnie wyjmują z takowej. Zwykle kaczka włożywszy łebek i szyję w oko sieci, nie może wyjąć je z niego, gdyż kierunek piór na to nie pozwala. Na sidła lub haczyki łowią się w sposób następujący. Na czystej a nie głębokiej wodzie rozpina się od brzegu do brzegu sznurek konopny, opatrzony w pewnych odstępach okami z włosia białego lub na takichże sznureczkach małymi haczykami z drutu, jak do wędek, co kilka ok lub haczyków przywiązuje się do konopnego sznurka kamienie, albo inne ciężary. Te wkłada się na palikach wbitych w dno rzeczki lub jeziorka tak, by ułożony na nich ciężar nie wystawał nad powierzchnię wody. Szczególniej przy haczykach, gdy zastawione oka i sznur mocniej naciągnięty tuż nad powierzchnią wody, kaczki podpływają pod nie i łapią się, gdy zaś haczyki z założonymi kawałkami mięsa, płuc bydlęcych, robakami lub małemi rybkami na ponętę, to chwytają takową, starając się jak najprędzej połknąć, by obok płynące towarzyszki nie odebrały smacznego kąska. Kaczka połknąwszy rybkę lub mięso, połyka i haczyk, targnąwszy zrzuca ciężar ze słupka bliższego i daje za nim nurka natychmiast, nie mając nawet czasu na ostrzeżenie swej braci przed grożącem niebezpieczeństwem. W ten sposób łowi się po kilka na jeden sznur, a po kilkanaście do kilkudziesięciu na dzień. Trzeba tylko pilnować i co chwila zaglądać do sideł i haków. Zwykle łowcy zostawiają po kilka takich przyrządów i obchodzą po kolei, często się zdarza, iż z każdego i za każdym razem zdejmują zdobycz. (Ciąg dalszy nastąpi).

KORESPONDENCYE.

Lwów 15. Marca 1886.

Dzienniki krajowe donosiły już w obszernych korespondencyach o tegorocznych łowach na grubego zwierza, wydawanych przez księcia Ordynata Radziwiłła w lasach nieświeżskich i przyległych puszczach, należących do tejże ordynacyi, rozciągających się jednem pasmem prawie od Mińska do granic Wołynia. Parę słów tylko dodaję w łamach naszego organu o ostatecznym rezultacie tych iście królewskich łowów. Chcąc opisywać wszystko, com tam widział i wrażenia myśliwskie, których doznałem, cały tom by mi chyba nie wystarczył. Wiadomo, że syn następcy tronu niemieckiego, ks. Wilhelm Pruski, bawił przez ośm dni jako gość ks. Antoniego w Nieświeżu i powrócił do Berlina uwożąc z sobą bogate trofea myśliwskie. Po jego odjezdzie polowano jeszcze dni dziesięć. Prócz gospodarza brali udział w łowach książęta Maciej i Wilhelm Radziwiłłowie i malarz Fałat z Galicyi, zaproszony przez księcia w celu uwiecznienia na płótnie ciekawszych epizodów tego wspaniałego polowania; na ostatnich kilka dni dopiero ja się do ich grona przyłączyłem. W 18stu dniach ubito ogółem ośmnaście starych niedźwiedzi i jednego łosia, żywcem zabrano jedenaście małych niedźwiadków. Na chlubę i chwałę nadzwyczajnej organizacyi myśliwskiej i całego łowiectwa radziwiłłowskiego, na widok którego czasy księcia Panie Kochanku przed oczyma stają, dodaję, że w ciągu tych dni ośmnastu ani jeden niedźwiedź nie uszedł i ani jedna obława nie pozostała bez rezultatu. Najwięcej ubił książe gospodarz, bo sztuk niedźwiedzi ośm, ks. Maciej pięć, ks. Wilhelm Pruski trzy i jednego łosia, ks. Wilhelm Radziwiłł jednego i pełnomocnik Abłamowicz, impressario całej wyprawy, dwa. Największa sztuka, istny olbrzym niedźwiedziego rodu, o ślicznem, czarnem futrze, jakiego najstarsi ludzie w tamtych stronach nie pamiętają, padł ostatniego dnia od celnej kuli księcia Antoniego. Prawdziwe: „*Finis coronat opus*“. Prócz tych ośmnastu niedzwiedzi ubił niżej podpisany przed spotkaniem się z radziwiłłowską drużyną, sporą niedźwiedzicę, dziewiętnastą zatem z rzędu, w lasach Turowskich nad Prypecią. Wybaczą mi łaskawi czytelnicy, że ich chwilkę przy tym epizodzie zatrzymam. Gawra była wiadomą i chłop, który przypadkowo ją odkrył, podjął się mnie na strzał podprowadzić. Myśliwy pojmie i zrozumie emocye iście piekielne, jakich się doznaje w chwili, gdy brodząc w śniegu po kolana podchodzi się do gawry wiedząc, że o kilkaset kroków oczekuje cel upragniony myśliwskiej wyprawy. Obawa pudła łączy się z chęcią zabicia i tworzy w myśliwskiej duszy, w mojej przynajmniej, prawdziwą wrzawę i zgiełk wewnętrznych uczuć, nad któremi tylko z trudnością zimna krew panuje. Poleszuk prowadził mnie przez gąszcz młodej jedliny, wskazując ciągle na olbrzymią sosnę, stojącą na halawie, pod którą niedźwiedź miał leżeć. Wyszedłszy z gąszczu mój przewodnik rzucił się w bok, by mi dać wolny widok i wystrzał, i ujrzałem niedźwiedzia, rzeczywiście pod ową sosną tuż pod ciemnym gąszczem leżącego, już rozbudzonego i zaniepokojonego szelestem naszych kroków, z łbem podniesionym, gotowego do skoku. Ledwo miałem czas się złożyć, nim niedźwiedź szybkim szusem, jak zając z kotliny, wyskoczył i rzucił się w gąszcz przylegający. Strzeliłem za nim i św. Hubertowi całe życie wdzięcznym będę, że szczęśliwym fangschussem kulę na komorę skierował. Leżał trup o kroków kilkanaście od strzału. Była to spora niedźwiedzica 4—5letnia o jasnym, rudym włosie. W gawrze zastaliśmy troje tygodniowych sysaków. Gawra była płytka, na czystem, podobna raczej do barłogu dzika lub sarny legowiska, niż łochwy niedźwiedzia. Uderzające to tem więcej, że zwykle niedźwiedzica oczekująca potomstwa wybiera sobie do snu zimowego miejsce zakryte, niedostępne wśród nieprzebytych gąszczów i bagien. Śnieg był stary, lecz około gawry tropów jej niebyło, z czego wnosić można, że niedźwiedź podczas snu zimowego wcale nie wstaje, jak to niektórzy twierdzą. Że była tak czujną, tłómaczy małe potomstwo, w obec którego jednak dziwnie złą matką się okazała, porzucając je szybkim skokiem na widok dwóch ludzi tylko. Jeden dowód więcej, że nie taki czarny djabeł jak go malują. Prawda, że ogólnie mi tam mówiono, że to wyjątkowy wypadek tchórzostwa niedźwiedzicy, tem więcej, że miała młode. Na zakończenie parę słów o samej miejscowości. Pierwszy raz będąc w tych stronach, w poprzednich latach bowiem, do białoruskich borów kierowałem zwykle me kroki, miałem sposobność przypatrzeć się z bliska prawdziwemu Polesiowi na prawym brzegu

Prypeci. Lasy tam o wiele więcej zaszanowane, wzdłuż Prypeci ciągną się długiem pasmem, drzewostan przepyszny, dąb dominuje i to w rozmiarach, o jakich tu wyobrażenia nie mamy. Dojazd nowemi kolejami łatwy, po zamarzniętych bagnach szybko się z miejsca na miejsce przenosić można, lud potulny i do polowania sprytny a moc grubego zwierza wielka. Jednem słowem raj dla duszy myśliwca. *Józef hr. Potocki.*

Bilcze d. 14 lutego 1886.

Rok łowiecki zakończamy z dniem ostatniego lutego w dobrach Podolskich książąt Sapiehów; z tego powodu czynię sprawozdanie z odbytych łowów z wykazaniem wszystkich danych które wywarły wpływ na nasze rezultaty. Obszar lasów należących do dóbr Podolskich, zajmuje przestrzeń 5.300 morgów; oprócz tych dzierżawimy polowania na polach we wszystkich gminach, które wchodzą w skład tych dóbr. Z polowania na polach wydzierżawionych nie korzystamy i dzierżawimy je tylko w celu skuteczniejszego strzeżenia zwierzyny. W dniach 26, 27, 28, 29. i 30. stycznia polowaliśmy w lasach i osiągnęliśmy następujący rezultat:

dnia	w Rewirze	polowanie na morgach	w częściach	ubito sztuki: lisy	kozły	zające	razem	ilość strzałów	ilość strzelb
26	I.	220	Ścianka Pisoczna	5	1	100	106	225	9
27	IV, III.	500	Rypiąki-Tulin-Ścianka kozacka	3	12	121	136	275	11
28	III.	600	Łanowieckie	6	5	158	169	384	10
29	I.	600	Dąbrowa	4	5	113	122	243	12
30	II.	550	Lipnik. Jezierzańskie-Halileja	1	24	86	111	228	12
			Razem	19	47	578	644	1343	

Przed głównem polowaniem ubito: ptactwa 144 sztuk, dzików 3 sztuk, kozłów 12 sztuk, zajęcy 43 sztuk. Razem 202 sztuk.

Szkodników ubiliśmy: orłów, puhaczy, psów, kotów, jastrzębi, srok, wron, lisów i łasic 814 sztuk, zatem cała ilość wynosi 1.660 sztuk.

Część ubitej zwierzyny sprzedano: zające do Szwajcaryi po 80 ct. za sztukę, zaś kozły do Drezna po 45 kr. za kilogram. Ceny wymienione płacono w Czortkowie dworzec kolei. Kozły ważyły w przecięciu po 17.8 kilograma jedna sztuka, otrzymano zatem za jednego kozła 8 zł. Obliczywszy według tych cen wartość ubitej zwierzyny, w tym roku otrzymano: za 621 zajęcy po 80 ct. 496 zł. 80 ct., za 59 kozłów po 8 zł. 472 zł., za 19 lisów po 3 zł. 57 zł., za 3 dziki po 8 zł. 24 zł., za 144 sztuk ptactwa różnego 14 zł. 40 ct. Razem przychodu 1.064 zł. 20 ct.

Wydatki zaś mieliśmy następujące: strzałowe za ubicie 814 szkodników 104 zł. 75 ct. za 8.000 kilogram. koniczyny na karmę 112 zł. 50 ct., naganiaczom: 711 ludzi 177 zł. 75 ct. podwody w czasie polowania i odwóz zwierzyny 39 zł., rozwożenie karmy w lesie i sporządzenie lizawek 27 zł. 50 ct. czynsz dzierżawny za polowanie na polach włościańskich 45 zł. Razem rozchodu 496 zł. 50 ct. Zatem zostaje jako czysty dochód z łowiectwa w tym roku 567 zł. 70 ct.

Nadmienić muszę, że w czasie polowania głównego w dniach 26, 27, 28, 29. i 30. stycznia, mieliśmy w pierwszych trzech dniach warunki sprzyjające polowaniu, zaś w ostatnich dwóch dniach t. j. 29. i 30. stycznia, prawdziwy wiatr stepowy dął z całą siłą przy mrozie 10. stopniowym. Przy takim wietrze u nas zwierz chroni się w miejsca ochronne t. j. w wertepy i ścianki ze stoczystością zasłoniętą, lub w gęste zapusty zasłonięte innymi drzewostanami od wiatru. W kraju lasu od pola w takiej porze zająca nie znajdzie i nie zwabi go tam nawet najlepszą karmą. Takie dwa dni mieliśmy przy końcu naszych łowców, które wpłynęły na rozkład nie bardzo korzystny. W Rewirze I. w części „Dąbrowa“ na przestrzeni 600 morgów, ubija się zwykle 200 sztuk zajęcy, dnia 29. ubito 113; w Rewirze II. w części „Lipnik“ na 110 morgach ubijemy zwykle 80. zajęcy, w dniu 30. ubito tylko 22. Otóż te dwa dni fatalne wpłynęły na nasz ogólny rozkład tak niekorzystnie, że nie mogliśmy rozłożyć 700 zajęcy, które preliminowane były w tym roku do rozkładu.

Co się tyczy sarn w naszych kniejach, to prawdziwie imponującą ilością poszczycić się możemy w R. II. na przestrzeni 450 morgów w części „Halileja“ i „Jezierzańska dębina“. W tych częściach ubito w czasie głównego polowania 24 kozłów, a przed głównem polowaniem 12, zatem razem 36 sztuk. Licząc, że 20 kozłów zostało w kniei, mieliśmy przed polowaniem, nie licząc poprzednio ubitych 12, razem 44 kozłów. Gdy się przyjmie, że na trzy sztuki siut przypada jeden kozioł, to liczyć możemy nasz stan sarn w tej kniei, składający się z 180 sztuk. Cyfrę tę sprawdziliśmy w przybliżeniu na miejscach przeznaczonych do karmy. W wymienionych częściach jako głównej siedzibie sarn u nas, dajemy przez całą zimę na karmę koniczynę, dziennie po 50 kilogramow, a oprócz tego dajemy na karmę młode pędy iwowe i osikowe, świeżo wyrąbane. Do lizawek mięszamy kamforę i anyż.

Nie jednemu z czytelników wydawać się będzie podana tu ilość sarn w stosunku do przestrzeni nieprawdopodobną, otóż aby uwydatnić te korzystne warunki dla tej ilości sarn, nadmieniam, że knieja ta graniczy z 2.400 morgową przestrzenią lasów hr. Karola Lanckorońskiego, zwaną „knieją Ułaszkowiecką“, w której łowiectwo jest racyonalnie prowadzone.

Takie są rezultaty naszych zabiegów, aby łowiectwo podnieść do stanu pożądanego. Cyfra czystego pieniężnego dochodu chociaż jest skromną, ale nie ujemną, a podwyższy ją znacznie korzyść moralna, którą ta rycerska rozrywka przysparza myśliwskiej drużynie. Sprawozdanie niniejsze sporządziłem dokładnie z uwzględnieniem wszystkich danych, aby należycie można ocenić nasze łowiectwo, a przy tej sposobności odpowiedzieć autorowi „Ustępu z listu“ umieszczonego w „Łowcu“ z miesiąca października r. 1885, którego szanowna redakcya „Łowca“ przedstawia jako „człowieka fachowego, światłego i gorliwego protektora sprawy łowieckiej w kraju“. Przed każdym człowiekiem fachowym uginam kornie czoło, ale wymagam od niego, aby nie był jednostronnym i nie dopuszczam nigdy, aby prawdziwy protektor łowiectwa nie był i protektorem leśnictwa. Autor wymienionego „Ustępu z listu“ zarzuca nam polskim leśnikom brak wykształcenia i doświadczenia li tylko z tej przyczyny, że chcemy pogodzić łowiectwo z leśnictwem, i obmyślić środki zaradcze przeciw uszkodzeniu plantacyi przez ogryzanie pędów przez sarny. Zarzut nam uczyniony jest zatem z tego powodu, że w lesie widzimy oprócz zwierzyny także i nasze drzewostany. Ciężki i przykry zarzut, ale pocieszmy się tem, że tylko przez protektora łowiectwa, który nie myśli o tem, że knieja jest jedynym i najpotrzebniejszym warunkiem utrzymania zwierzyny. Jako przykład do naśladowania, wymienia nam autor „Ustępu z listu“ niemieckich ritterów w Czechach, Morawii, Szląska i Austryi, którzy na 250 morgach mają więcej zwierzyny, niż u nas w magnackich kluczach ks. A. S., hr. W. D., hr. Ar. P., hr. Al. P. i że u tych ritterów na 250 morgach sarny niewyrządzają szkody,

gdyż hodowla ich jest tam racyonalna. Na takie dictum acerbum autora „Ustępu z listu“ odpowiem mu jego własnemi słowy, że nasze polskie sarny, są tej samej złośliwej natury, jak sarny Czech, Morawii, Szląska, Austryi wyższej i inne, z tą tylko różnicą, że w lasach magnackich, a nie u ritterów na 250 morgach, jeżeli chcą mieć tak imponującą ilość sarn, jak my je mamy, muszą swe plantacye zabezpieczać przez ogrodzenia, smarowania od uszkodzenia przez zwierzynę. Proszę autora „Ustępu z listu“ wyliczyć mi w tamtych wolnych nieogrodzonych lasach, aby na 2½ morgach znajdowała się jedna sztuka sarn lub jeleni. Uczynię jeszcze i tę uwagę, że niekoniecznie uważam jako rzecz racyonalną łożyć na łowiectwo bajońskie sumy tylko w tym celu, aby się poszczycić ilością znaczną zwierzyny. Wolno takie wydatki robić właścicielom magnackich fortun, ale ritterom na 250 morgach, których jako godnych naśladowania przytacza naszym właścicielom magnackich kluczy, czynić tego niewolno, gdyż taki ritter przestałby być w pierwszym roku ritterem i szukałby posady jako Fasanenjaeger u jakiego pana polskiego. Na udowodnienie mego wywodu przytaczam stan łowiectwa w dobrach Nieder Fladnitz w niższej Austryi u ks. Auersperga. Łowiectwo w Nieder Fladnitz należy do pierwszych całej Austryi. Otóż są następujące dane, z których można mieć pojęcie o stanie zwierzyny, zarządzeniach i kosztach. 1. Lasy tych dóbr obejmują przestrzeń 5.000 morgów, z których 4.000 morgów jest ogrodzonym zwierzyńcem. 2. Zwierzostan w zwierzyńcu t. j. na 4.000 morgach jest następujący: 400 sztuk jeleni i do 40 sztuk sarn, te ostatnie w ogrodzonem miejscu, aby nie miały styczności z jeleniami. 3. W wolnych nieogrodzonych drzewostanach na 1.000 morgach znajduje się 30—40 jeleni i 30—40 sarn 4. Zwierzyniec ogrodzony jest w części sztachetami w słupach kamiennych, częścią w słupach i ryglach dębowych, zaś nowsze ogrodzenia są druciane w wysokości od 2 do 2½ metra. Ogrodzenie główne składa się ze słupów wkopanych w odległości 4 metrów, połączonych z sobą 12 poziomymi drutami, grubości 5 mm., druty te poziome przegrodzone są trzema prostopadłymi drutami, grubości 2 mm. Oprócz głównego ogrodzenia używają drugorzędnego z drutu 4 mm. grubego, przeznaczonego w środku zwierzyńca dla ochrony plantacyi od zwierzyny i do odgrodzenia sarn od jeleni. Pierwsze ogrodzenie zwą Hauptplanke, zaś drugie Schutzplanke. Oprócz wymienionego ogrodzenia używają tam następującej mieszaniny w celu ochronienia plantacyi od ogryzienia pędów przez zwierzynę: wapno gaszone, krew bydlęca, pudreta, glina i mydło, wszystko rozgrzane na wolnym ogniu. Tą mieszaniną skrapiają większe sadzonki, mniejsze zaś smarują i tamtejsze sprawozdanie wyraża się następująco: Mit dieser Mischung werden die Bäumchen an sonnigen Tagen angespritzt und ältere Heister am Stämmchen angestrichen. Man merkt hievon kaum etwas und bleiben die besprengten Pflanzen in Takt, wenn je eines angegriffen wird, so hat es den Anstrich nicht erhalten. 5. Na karmę zwierzynie dają w zimie siano, owies w snopach i ziarnie, żołądź, kasztany, kukurydzę, liście suszone z jasiona i dęba. Oprócz tego w zwierzyńcu są łąki i pola, ostatnie z przeznaczeniem do karmienia zwierzyny. Pola te zasiewają owsem, mieszanką i ziemniakami ogrodzone są płotem z czterema bramami, któremi w razie dobrego urodzaju zwierzynę na te pola wpuszczają. 6. Rocznie ubijają 80—100 sztuk jeleni i sarn, aby zaś stan teraźniejszy zmniejszyć, postanowiono w następnych latach ubijać 150 sztuk rocznie, aby cały stan zredukować na 200 sztuk. W jesieni 1885 r. ubito na rykowisku 21 sztuk jeleni w 8 dniach. 7. Łowiectwo w Nieder-Fladnitz kosztuje księcia Auersperga rocznie 9.000 zł., dochód zwierzyny przynosi rocznie 4.000 zł., zatem dokłada rocznie do łowiectwa 5.000 zł. Przytoczyłem umyślnie opis łowiectwa w Nieder-Fladnitz, aby dać chociaż w części wyobrażenie czytelnikom o kosztach, jakie ponosić musi właściciel na utrzymanie łowiectwa, nie wspominając o kosztach założenia. Oprócz łowiectwa w Czechach, Morawii, Szląska, Austryi wyższej i innych, daje nam autor „Ustępu z listu“ jako przykład naśladowania godny jedyne łowiectwo w naszym kraju w Olejowie, u hr. K. Wodzickiego. Co się tyczy łowiectwa w Olejowie, to w tym względzie zgadzam się z autorem, że jest ono jedno z pierwszych w kraju, prowadzone racyonalnie i ekonomicznie, ale z pewnością hr. K. Wodzicki nie bierze wzorów z zagranicy, tylko stara się własnemi doświadczeniami długoletniemi wprowadzić w swych kniejach polskie łowiectwo.

A zatem kończę i zapewniam autora „Ustępu z listu“, że nas leśników polskich nie sprowadzi z drogi myślenia i doświadczeń swemi uwagami, gdyż celem naszym jest wychować knieję, a w niej ustalić zwierzostan.

Stanisław Piotrowski.

Berezowica 6. Marca.

W nr. 3. „Łowca“ z dnia 1. Marca b. r. wyczytałem artykuł p. Józefa Krzysztofowicza przeciw opodatkowaniu chartów napisany. Dla jeźdźca i myśliwego mieszkańca Podola i stepów, jest opodatkowanie chartów sprawą dość ważną, wiele bowiem osób, które dotychczas charty posiadały, tychże już trzymać nie będzie, jeśli ta nowa ustawa sankcyę otrzyma, konsekwencyą tego będzie, że się czasów doczekamy, w których nikt już na konia nie siądzie, a szlachetne to zwierzę jako postrach uważane będzie. P. Krzysztofowicz zatem broni sprawy, której i ja niewątpliwie broniłbym, gdybym się odważył artykuły moje pod sąd publiczny podawać i my podolacy za odezwanie się w tej kwestyi wdzięczni mu być powinniśmy. Broni jej jednak w sposób może do celu prowadzący, ale ani logiczny, ani rycerski. Bo żądając najsłuszniej, by charty były wolne od podatku, pragnie nałożenia podatku na bigle. Sądzę, że żąda tego jedynie z tej przyczyny, że *par force* nigdy nie polował, i słabe mieć musi o tem polowaniu pojęcie. Na wstępie zapytać sobie pozwolę, gdzie p. Krzysztofowicz widział, że polujący *par force* „po niwach chłopskich uganiają“.

Najpierw nie uganiają, bo są ludzie spokojni i dobrze wychowani, którzy zwykłym galopem za psami postępują, a następnie nie po niwach chłopskich, bo te najskrupulatniej objeżdżają. Gdybym chciał użyć sposobu argumentowania p. Krzysztofowicza, powiedziałbym, że raczej ci, którzy za chartami jeżdżą, „uganiają“, bo niewiem czy mu wiadomo, że się za chartami znacznie prędzej jeździ, jak harriersami albo foxhoundami, (beaglów u nas bowiem obecnie nie ma), n. b. jeśli się ma serce po lewej stronie, a konia dobrego i szybkiego pod sobą. Nie wiem z czyją psiarnią p. Krzysztofowicz polował, ale proszę go, aby mi takiego „uganiającego“ wskazać zechciał, bym go się wystrzegał i do towarzystwa naszego nie przyjął, chyba że solennie przyrzecze, iż ani uganiać ani niw chłopskich zasianych przejeżdżać nie będzie. Baron Adam Heydel, który przez lat parę jedynym był właścicielem meuty (psiarni) w kraju, z którą większe towarzystwo dzięki jego gościnności miało przyjemność i możność polowania, był pierwszym, który zażądał od swych gości, by po oziminach chłopskich nie jeżdżono, a żądaniu temu goście jego zadość czynili i czynią, bo im uprzejmy gospodarz dobry

przykład daje. Ja mam również psiarnię, którą z wielu innymi utrzymuje, a mam nawet zaszczyt być przewodniczącym naszej associacyi. Dbając oto, by się ten śliczny rodzaj polowania u nas utrzymał, a nadto stał się popularnym i chłopów nie drażnił, przestrzegam bardzo surowo, by żaden z nas lub służby naszej, czy to stępo czy w galopie na chłopskiem zasianem polu nie stanął. Nie śmiem posądzać, ale wątpię, czy mógłby p. Krzysztofowicz z ręką na sercu zaręczyć, że jadąc za chartami nigdy niwy chłopskiej nie przejechał. Co do drugiego argumentu, że „beagle to zabawa arcypańska“ pozwolę sobie nadmienić, że koszta utrzymania psiarni harriersów są tak nie wielkie, że w towarzystwie z dwoma lub trzema sąsiadami każdy trochę zamożniejszy szlachcic trzymać ją może. Prowadzę od lat 4 dokładne rachunki kosztów utrzymania psiarni i każdej chwili mogę p. Krzysztofowiczowi służyć nimi. Na dwóch a nawet na jednym koniu można bez narażenia konia przez cały sezon polować *par force* trzy lub cztery razy w tygodniu, a znałem jeźdźców, którzy przy hallali zawsze byli choć konia nigdy nie zmieniali. W wyborze towarzyszy polowania żadną wyłącznością się nie kierujemy, „wybranych“ więc nie ma, każdy kto łaskaw się do nas przyłączyć, jest mile widziany, skoro ma zaproszenie od właściciela gruntu, na którym się poluje, a arcy mile ten, co nie ugania po oziminach chłopskich i rzecz tę lubi. Nie musiał p. Krzysztofowicz wcale polować *par force*, albo też jeśli polował, to z bardzo lichą psiarnią, skoro w ten sposób za charcianem polowaniem się ujmuje. Nie zna więc uczucia, które ma zapalony myśliwy na widok doborowej psiarni, goniącej za szarakiem stepowym, mądrym graczem, co w pole często psy i kilkunastu wywiedzie myśliwych, nie wie co jest jechanie za psami na dobrym i odważnym koniu przez step szeroki, nie wie, jak się wtedy czuje lekkim, jak umysł się odświeża a ciało młodnieje, jak zapomniawszy o biedzie i troskach, duszą i ciałem jest się oddanym tej rycerskiej i myśliwskiej zabawie, nie wie w końcu, jak miło wśród zimowych wieczorów siedząc przy kominku przeglądać dziennik polowania, ile to wówczas wspomnień, ile to się chwil uroczych ma.

Zamykając dyskusyę o tem, proszę p. Krzysztofowicza, aby mi zrobił ten zaszczyt i raczył choć raz zapolować da Bóg w ciągu przyszłej jesieni, gdy gościnność jego zacnych sąsiadów znowu na próbę wystawię, i do nich zjadę z mą psiarnią, a mam nadzieję, że równie jak dziś przeciw opodatkowaniu chartów pisze, pisałby także przeciw opodatkowaniu meuty, gdyby znowu Wys. Sejm i w ten sposób starał się zabić tę odrobinę rycerskości, którą jeszcze mamy. *Errare humanum est*, więc błąd swój uznać i kosztem jednego rodzaju polowania nie bronić drugiego, będzie jeśli nie boskiem, to przynajmniej grzecznie a sprawiedliwie. Pozwolę sobie tu jeszcze dodać, że już trzecią jesień z pieskami naszymi polujemy. W roku 1882. t. j. w początkach istnienia naszej psiarni mieliśmy 20 dni polowań i wzięliśmy 20 zajęcy. Psiarnia choć się składała z dobranych indiwiduów, liczyła tylko pięć sfor t. j. 10 psów W roku 1884. powiększyła się o dwie i pół sfory, a na 20 dni polowań mieliśmy 26 zajęcy wziętych. W roku 1885. mieliśmy 21 dni polowań. Wziętych 26 zajęcy i 2 lisy a psiarnia polująca liczyła ośm sfor. Rezultat to choć może nie nadzwyczajny ale zawsze niezły. Wielka szkoda, że w kraju naszym, gdzie w wielu okolicach tak śliczny mamy teren, tak mało jest zwolenników polowania tego. Znam nawet takich, którzy utrzymywali, że polować *par force*, nie tylko jest nie pomyśliwsku ale nawet nie postaropolsku. Tych panów, z których n. b. żaden tak nie polował, niech mi wolno będzie zapytać, czy jest postaropolsku strzelać z odtylcówek, jeździć na siodle angielskiem, jadać zające na rożnie pieczone, jeździć koleją, nosić frak albo cylinder, gdy ojcowie ich strzelali z skałkówek, jeździli na terlicach, zwierzynę piekli w rondlach, kolasą transportować się kazali i nosili szerokie szarawary i kapoty, a głowę w czapki lub kołpaki ubierali. W roku bieżącym, jeśli zdołam do jesieni w zdrowiu psy nasze utrzymać, powinienem stanąć przed towarzyszami mymi ze snacznie powiększoną psiarnią, bo zeszłorocznych szczeniąt, obecnie już dorodnych piesków, mam kilkanaście, a że od doskonałych suk pochodzą, a ojciec ich psiarnie od lat dwóch prowadzi i ma zalet wiele, więc jest nadzieja, że dobrze i żwawo polować się będzie. Gdybym wiedział, że czytelników „Łowca“ nie znudzę, ośmieliłbym się po skończonej kampanji zdać raport, jak się nam polowało i z jakim rezultatem (P. R. Bardzo prosimy).

Alfred Garapich.

---

16. Lutego.

W sprawie wniosku posła Abrahamowicza. W monarchii Austryackiej zaprowadzone są karty myśliwskie w następujących krajach: w Austryi niższej od roku 1880., w Austryi wyższej od r. 1854., w Morawii od r. 1882., w Szlązku od r. 1877., w Czechach od r. 1866., w Tyrolu od r. 1872., w Vorarlbergu od r. 1872., w Styryi od r. 1881., w Krainie od r. 1852., w Węgrzech od r. 1883, — i nareszcie w Bośnii i Hercegowinie od r. 1883., przyczyniając się wszędzie do pomnożenia zwierzostanu i ukrócenia kłusownictwa.

Nie występuję w obronie wnioskodawcy, który jeśli się czuje dotknięty korespondencyami pp. Jordana i Krzysztofowicza, sam niechaj się broni, patrząc jednak na rzecz jako myśliwy praktyczny, fachowy, znający stosunki mysliwskie nasze i krajów sąsiednich, uważam się za kompetentnego do zabrania głosu. Winienem przedewszystkiem zaznaczyć założenie, z jakiego wychodzę. Idzie mi tylko o dowód, że karty myśliwskie są rzeczywiście jednym ze środków podniesienia zwierzostanu, stanowiącego majątek krajowy i że dopomódz mogą do poskromienia kłusownictwa, nie wdaję się jednak wcale w krytykę lub aprobatę innych punktów wniosku p. Abrahamowicza. Pierwszem następstwem kart myśliwskich będzie zmniejszenie się liczby myśliwych, czego wcale za nieszczęście uważać nie można. W ostatnich latach namnożyło się tylu amatorów polowania, iż z pewnością w wielu okolicach więcej jest myśliwych, jak zwierzyny. Zapewne p. B. Jordan na swoje szczęście nie sąsiaduje z większem miastem jak n. p. Stanisławów, Przemyśl, Rzeszów, Tarnów, etc., gdyż w takim razie innem by okiem na ograniczenie wolności polowania spoglądał. Najwięcej wolności jest w Zjednoczonych Stanach, a jednak i tam głosi ustawa: „wolno każdemu robić co mu się podoba, byleby to nie przynosiło szkody osobom trzecim lub ogółowi“. Czy jednak to nie przynosi ogółowi szkody, jeśli kilkudziesięciu amatorów myśliwstwa (myśliwymi oni nie są) od rana do wieczora w ciągu całego sezonu włóczy się po wydzierżawionym przez siebie za małą cenę rejonie i w pierwszym zaraz roku wybije zwierzynę do szczętu? Jeśli rejon taki graniczy z posiadłością większą, gdzie myśliwstwo zwykle racyonalnie się prowadzi, to właściciel tego majątku najniesłuszniej ponosi wielkie straty, gdyż wybijają mu zwierzynę, którą on hoduje. Nie na tem koniec. Skoro niedobrzy ci sąsiedzi u siebie już na lekarstwo szaraka nie znajdą, zapuszczają się ukradkiem do sąsiednich w zwierzynę bogatych rewirów. Że nie jest to gołosłowne twierdzenie, lecz najrze-

czywistsza prawda, mogę w każdej chwili udowodnić p. Jordanowi. W ciągu jednego miesiąca odebrano w moim rewirze 5 strzelb, nie ma zaś prawie dnia, aby nie spotkać podejrzanych indywiduów snujących się wzdłuż granicy, wypatrujących, czy też nie uda się wsliznąć niepostrzeżenie po za granicę. Zdarza się i gorzej, nie dawno całe towarzystwo z nagonką polowało na naszem terytorium ufając, iż cofną się na czas jeszcze po za granicę, gdyby dozorcy myśliwscy nasi nadeszli. Czyż więc wypada żałować, że przez zaprowadzenie kart myśliwskich polowanie stanie się dla wielu z tych Panów niedostępnem? Obrazek, który tu pobieżnie pozwoliłem sobie naszkicować, nie jest wyjątkowym, lecz wszędzie prawie w pobliżu miast i miasteczek, gdzie nie egzystują towarzystwa myśliwskie, powtarza się. Nie sztuka spożywać owoce przez innych wyhodowane, kto chce mieć zwierzynę, ten niechaj się o nią troszczy, niech ją hoduje a nie tępi bezmyślnie, aby się później targnąć na cudzą, gdy swojej braknie. Kto zaś tego warunku dopełnić nie może i staje się tylko konsumentem nic nie produkując, tego działalność jest ogółowi szkodliwą i nie powinna być cierpianą. Gdzie chodzi o dobro ogólne czyli w naszym wypadku o ogólne zwiększenie się zwierzostanu, tam nie można uważać na to, czy zarządzenie jakie ku temu celowi zmierzające, będzie pojedyńczym członkom społeczeństwa mniej lub więcej przyjemne, a że wprowadzenie kart myśliwskich zmniejszy ilość strzelców, jest niewątpliwem i bardzo pożądanem. Zapewne, że lepiej byłoby zamiast kart myśliwskich zmusić lubowników polowania, nie właścicieli ziemskich, do zawiązywania się w towarzystwa drobne uorganizowane, dające rękojmię, iż działanie ich nie będzie destrukcyjnem, czyż jednak ustawa taka jest możliwą?

Przez zaprowadzenie kart myśliwskich stanie się przydybany kłusownik karygodniejszy, gdyż przekroczył prawo nawet wtedy, gdy kartę na broń posiada, spotka go też surowsza kara, która innych odstraszy. Radykalnym środkiem na kłusowników nie staną się karty myśliwskie, to pewne, ale też nie mniej pewnem jest, że w jakiejś części złemu zaradzą. Zanim więc wykołatamy osobny paragraf w ustawie karnej, wyznaczający surowe kary na kłusowników, zanim uda nam się rozciągnąć lepszy dozór nad przekupniami zwierzyny przez wprowadzenie ustawy, iż bez legitymacyi, zwierzyny do miast wprowadzać, takowej sprzedawać i transportować koleją lub pocztą nie wolno, zanim te piękne marzenia nie przestaną być *pium desiderium*, nie narzekajmy na wprowadzenie kart myśliwskich. Uczmy się zresztą na przykładach: jeżeli karty myśliwskie dodatnio wpłynęły na zwierzostan w tylu innych krajach, dla czegożby u nas miało być inaczej? Czyż stosunki nasze istotnie są tak odmienne? Być może że zapatrywania moje są jednostronne i błędne, być może że dowód niedołężnie przeprowadzony, to też zniemałą niecierpliwością oczekuję dalszych głosów, jakie się w „Łowcu“ w tej materyi odezwą.

R.

KRONIKA.

Dnia 23. Lutego odbyło się posiedzenie Wydziału gal. Tow. łow. Obecni byli: prezes Tow. hr. Roman Potocki, członkowie: Bohdan Teofil, Exc. hr. Włodzimirz Dzieduszycki, Glanz Józef, Dr. Kratter Ferdynand, Dr. Rieger Zygmunt, Dr. Roiński Emanuel, hr. Starzeński Leopold, Zontak Władysław.

Przewodniczący zagaił posiedzenie upraszając o uwolnienie go od urzędu prezesa Towarzystwa z powodu stosunków i zajęć, które go usuwają z kraju i nie dozwalają brać udziału w obradach Wydziału. Prośby i nalegania członków skłoniły przewodniczącego do cofnięcia rezygnacyi.

Następnie wybrano na opróżnioną przez śmierć Dra M. Gnoińskiego posadę wiceprezesa Towarzystwa p. T. Bohdana z zastrzeżeniem, że wybór ten ma być przez Walne Zgromadzenie zatwierdzony.

Mianowano delegatem na Walne Zgromadzenie gal. Tow. roln. gosp. p. Władysława Riegera.

Przypomniano hr. Tad. Dzieduszyckiemu i Drowi E. Roińskiemu referat, dotyczący reformy ustawy łowieckiej.

Rozpatrzono stan finansowy Towarzystwa.

Wydawnictwo kalendarza myśliwskiego wykazało na rok 1885., niedoboru 37 zł. 34 ct. Wobec korzyści, jakie on myśliwstwu przynosi, postanowiono w dalszych latach powtarzać to wydawnictwo z tą jedynie zmianą, że kalendarz myśliwski połączony będzie z kalendarzem leśniczym. Przyjęto wniosek Exc. hr. Włodz. Dzieduszyckiego, aby Redakcya kalendarza rozważyła, czyliby nie było możebne bezpłatne rozsyłanie kalendarza członkom Towarzystwa.

Oznaczenie terminu i programu obrad Walnego Zgromadzenia Tow. łow. odroczono do następnego posiedzenia Wydziału. Przygotowanie materyału dla obrad Walnego Zgromadzenia i ułożenie sprawozdania powierzono komisyi złożonej z Dra Z. Riegera, Edwarda Simona i Józefa Łozińskiego.

Wzięto pod ścisłą rozwagę sprawę wniosku posła Abrahamowicza, dotyczącą wprowadzenia kart myśliwskich i opłaty od psów łowczych. Po żwawej dyskusyi przewodniczący poddał pod głosowanie wniosek następującej treści: „Wydział w zasadzie popiera ustawę wprowadzającą karty myśliwskie, ale przeciwny wysokości opłaty“. Rezultat głosowania: 5 głosów za, 4 przeciw. Postanowiono przedłożyć tę sprawę do decyzyi Walnemu Zgromadzeniu i mianowano referentem jej p. Edwarda Simona.

Ponieważ okazała się potrzeba wyboru referenta dla spraw wydziałowych, uproszono na to stanowisko Dra Ferd. Krattera.

W końcu obszernie rozważono sprawy Redakcyi „Łowca“ i postanowiono usilnie się starać o dostarczanie jej materyału.

Wpisali się w poczet członków Towarzystwa łowieckiego:

Czosnowski Franciszek.
Eberhardt Maxymilian.
Michałowski Józef.
Poletyłło Jan.
Potocki Andrzej hr.
Szymanowski Tomasz.
Weissenwolff Konrad hr.
Wierzchlejski Wacław.
Wolański Władysław.

Olejów 11. Marca.

W rewirze objętości 2700 morgów, gdyż na polach nie odbywa się polowanie, ubito w roku 1885/6 55 rogaczów, 53 lisów, 209 zajęcy, 223 słonek.

W.

W drugiej połowie Lutego b. r. polowałem na dziki u ks. Hieronima Lubomirskiego w dobrach Rozwadowskich na przestrzeni przeszło 16.000 morgów lasu. Że dzików było wiele, wcale się nie dziwiłem, lecz takiego stanu sarn nigdzie nie spotykałem, nie było miotu, iżby kilkanaście a nawet więcej ich nie widziano, mimo że knieje graniczą z lasami ordynacyi hr. Zamoyskiego w Król. Pols., gdzie kóz nie ochraniają. Nasze polowanie było głównie na dziki, więc tylko po nich strzelaliśmy we dwóch do starych z rogami kozłów, straży leśnej i oficyalistom nie wolno było strzelać, pomimo tego zabiliśmy 32 starych rogaczy. Gdybyśmy byli strzelali do wszystkich pod lufy idących i to śrótem, to można było drugie tyle zabić, a nadto trzeba wziąć na uwagę, żeśmy najczęściej strzelali kulami i niejednego się chybiło. Ile można było zabić polując w kilkanaście strzelb, takiego rezultatu

pewnie by w kraju nie było. Nic w tem dziwnego, przez całą tegoroczną, ostrą zimę, z powodu ogromnych śniegów, wywożą tu do każdego rewiru zdrową, suchą paszę t. j. owies w snopie, siano i koniczynę poddostatkiem, widziałem to niemal w każdej kniei. Jest to zasługą księcia, to też owo rojenie się sarn, jakby z kojca puszczonych, jest dla myśliwych niewysłowioną rozkoszą. Dzików położyliśmy 28 sztuk różnego wieku i płci, jednego odyńca ogromnego, który miał już prawdziwe czarne kły ze starości, osobliwie górne. 10 sztuk mocno postrzelonych przeszło granicę, gdzie objeżdżczyki rosyjscy już czekali, by się z nimi spotkać. Było też chybionych dosyć, trudno wszystkie zrachować. Strzałów do dzików padło przeszło 100, ruszyliśmy kilkadziesiąt sztuk. Lisów w tak wielkich lasach mało, chyba od pola, zabiliśmy 14. Jarząbków i cietrzewi mnóstwo, głuszce też nierzadko przelatywały, ale mając kulami nabite strzelby na otropione dziki, przepuszczaliśmy to szlachetne ptactwo lubo z wzruszonem sercem. *W. B. M.*

Stare Brody 21. Lutego.

Przez pięć dni polowałem w prześlicznych Lisowieckich kniejach, przez pierwsze trzy dni nie dałem strzału, cały ten czas miałem sztuciec w ręku, ale gdy ostatni miot brano od pola na sarny i lisy, zmieniłem sztuciec na śrótówkę i wtedy to wyszedł na mnie odyniec kłusem na dwadzieścia trzy kroki przez bardzo szeroką linję. Okropnie mnie ten wypadek poruszył i zaraz wziąłem drylinga hr. L. Starzeńskiego, fabryki p. Molnara z łamanym kurkiem systemu Lankastra, z którym już dwa dni ostatnie polowałem, gdyż hr. Starzeński posiada dwa tej fabryki. Zaraz czwartego dnia w pierwszym miocie zabiłem samurę, która stado prowadząc stanęła na 60 kroków odemnie, a że staliśmy ze złym wiatrem, musiałem strzelić na sztych i to jeden raz z expresa, bo tylko przód z parowu pokazała, a po strzale posunęła się w parów i tylko słyszałem okrutne rechtanie z kwandrans na miejscu całego stada złożonego z 15 sztuk różnego kalibru, a gdy nagonka doszła, stado się przebiło przez chłopców i już więcej się z nim nie spotkano. Samurę wyniesiono z parowu, gdzie po strzale z 50 kroków się posunęła, to tylko expresowa kula i to expansywna może na miejscu położyć dużego dzika, samura ważyła 120 kilo. Piątego dnia mogłem być królem polowania, ale sąsiad mój z prawej strony pospieszył się o jedną minutę i strzelił w gęstej drągowinie do odyńca, idącego na sztych do mnie. Odyniec galopem poszedł na flankę, wyszedł na strzelca hr. Stadnickiego, który go dwoma celnymi strzałami położył. Tego dnia więcej dzików na Taniawie nie spotkano. Zabiłem jeszcze lisa śrótem na 80 kroków, który po strzale ani drgnął. Przy drylingu fabryki p. Molnara lufy ciągnięte wzdłuż doskonale biją tak śrótem jak i kulami i zaraz obstalowałem sobie, ażeby mieć broń, która doskonale bije i której przeważnie z dobrym skutkiem używają towarzysze Lisowiccy. Z drylingami fabryki Molnara chodzą hr. Starzeński, hr. Łączyński, p. Piegłowski, p. Horodyński. Mojem zdaniem jest to jedyna broń do Lisowic, gdzie w każdej chwili mogę mieć niespodziankę tak zimą jak i w jesieni, a trzymając palec na kurku zawsze jestem gotów strzelić tak do jarząbka jak do niedźwiedzia. Hr. L. Starzeński na 16 strzałów zabił 16 sztuk, o czem można się przekonać w protokole Lisowickim, a tylko używa broni z fabryki Molnara; przytem inne strzały widziałem a najwięcej sobie wierząc obstalowałem broń u p. Molnara, chociaż przyznać muszę, że artykuł p. Pietruskiego w „Łowcu“ o niedokładności broni mnie nastraszył. Napisałem więc, prosząc p. Molnara, ażeby mi to wytłómaczył, a gdy list przyszedł, czuję się w obowiązku prosić szanowną Redakcyę „Łowca“, żeby go umieściła w swoich łamach jako reklamę fabryki Molnar. Mówią, że czasem expres zawodzi, jest to okropne dla myśliwego, ale nie jest to wina p. Molnara, tylko fabryki ładunków expresowych, gdyż widziałem expresy angielskie zawodzące.

Proszony, ażebym podał wykaz zabitej zwierzyny w Lisowicach, podaję: na jesiennem polowaniu zabito: dzików sztuk 7, kuna 1, rogaczy 12, lisów 21, zajęcy 52, cietrzew 1, jarząbków 23, słonek 14. Straż leśna zabiła: sów 26, jastrzębi 37, srok 28, kotów 2, razem sztuk 224. Na zimowem polowaniu: dzików 15, rogaczy 56, lisów 21, zajęcy 48, jarząbków 7, kuna 1, sów 6, razem sztuk 154. W całym roku zabito 379 sztuk. *Marceli hr. Tyszkiewicz.*

Warszawa 2. Marca 1886.

Dla czytelników „Łowca“ skwapliwie śledzących za postępem i rozwojem gospodarstwa myśliwskiego nie tylko w Galicyi, lecz i u sąsiadów, nie obojętnym może będzie fakt, jaki tu podaję. Jakkolwiek nie mamy dotąd w guberniach Królestwa Polskiego organicznie urządzonych towarzystw łowieckich, posiadamy jednak instytucyę pośrednio wpływową, to jest towarzystwo opieki nad zwierzętami, które rozwijając się z postępem czasu, zaczyna dotykać kwestyi zmierzających do ochrony zwierzyny. Oto warszawski oddział tego towarzystwa na odbytem przed kilku dniami posiedzeniu, w celu wzmocnienia opieki nad zwierzętami w ogóle, równie nad zwierzostanem w polach i lasach, postanowił mianować opiekunów gminnych i na początek takowych zamianował w okolicach Warszawy. Jednocześnie wspomniany zarząd w tymże celu odniósł się do p. gubernatora i naczelników powiatowych. Tak więc pierwszy krok zrobiono w gubernii warszawskiej, a miejmy nadzieję, że pożyteczny ten środek rozszerzy się i w innych guberniach. Mamy wprawdzie wydane przez Rząd „przepisy o polowaniu“, które „Łowiec“ pomieścił w swym kalendarzu na r. b., lecz przepisy te są po większej części martwą literą z powodu słabego nadzoru ze strony policyi ziemskiej i dyskrecyonalnej obojętności właścicieli, względem wcale niedyskretnych złodziei zwierzyny, którym tegoroczna ostra i nadzwyczaj śnieżna zima tak jest na rękę, że nie ma granic tępienia na różne sposoby kuropatw, jedynego u nas ptactwa przedstawiającego ogromną ilość w ubiegłym sezonie. Jeżeli więc ustanowieni opiekunowie gminni gorliwą ze swej strony rozciągną opiekę, być może, iż zachęceni dobrym przykładem ziemianie ockną się z letargu i postarają się o wytworzenie towarzystw łowieckich. Niektóre pisma nasze doniosły, że w właściwych sferach rządowych opracowuje się nowa ustawa o polowaniu, w której termin zaprzestania polowania ma być oznaczony na dzień 1 Lutego. W tymże czasie, znany u nas w kraju racyonalny uprawiacz kultu nemrodowego ksiądz Zmudowski z Przedborza, odezwą wystosowaną do okolicznych obywateli, skłonił ich do zaprzestania polowania z dniem 1. Lutego r. b. Na znak zgodzenia się, obywatele w znacznej liczbie na odezwie podpisali się. Oby fakt ten był kamieniem węgielnym pierwszego u nas towarzystwa myśliwskiego.

J. Szlezygier.

Nie tylko ja, ale niezawodnie każdy w Galicyi prawdziwy myśliwy sięgający głębiej w stosunki i potrzeby krajowe, uzna słuszną podstawę wystąpienia Redakcyi „Łowca“ przeciw ustawie sejmowej, dotyczącej kart myśliwskich. Jakkolwiek jest to sprawa podrzędna wobec wielu wielkiej wagi, to jednak żadna może żywiej nie poruszyła opinii publicznej w kraju. Mogę śmiało zapewnić, iż gdyby głosowanie powszechne w tej sprawie było możliwe, to niefortunny ów projekt upadł by olbrzymią większością. Tyle już o tem mówiono i pisano, że nie chcę sobą pomnażać liczby opponentów, jeden tylko szczegół wytknę, który mnie gorliwego propagatora racyonalnego myśliwstwa w kraju żywo poruszył, a nawet wyznam szczerze, oburzył. W sprawozdaniu komisyi administracyjnej o wniosku posła Abrahamowicza w sprawie zaprowadzenia kart myśliwskich czytam następujący ustęp: „Kraj nasz pod względem stosunków myśliwskich i ochrony zwierzyny, aż do niedawno ubiegłych czasów, znajdował się w najopłakańszym stanie. Zaledwie w ostatnim dziesiątku lat powiodło się wytrwałym usiłowaniom pojedyńczych uprawnionych powstrzymać w niektórych okolicach wkorzenione zdawna nadużycia i t. d.“ Więc według zdania p. sprawozdawcy zasłużyli się tylko owi pojedyńczy uprawnieni, nikt więcej, bo o nikim nie wspomina. A wszakżeż dobrej woli uprawnieni bywali i przed dziesiątkiem lat, a jednak o poprawie myśliwstwa ani marzyli. Panu sprawozdawcy widocznie bardzo zależało na tem, aby podnieść zasługę owych pojedyńczych uprawnionych w różnych okolicach, a zręcznie przemilczeć o zawiązanem właśnie przed dziesiątkiem lat gal. Towarzystwie łowieckiem, a szczególnie o organie jego „Łowcu“, którym ono najdzielniej stanęło w obronie racyonalnych zasad myśliwstwa. Przemilczenie takie nie umiemy sobie inaczej wyjaśnić, jak tendencyjnem ignorowaniem najgłówniejszej przyczyny rozwoju naszego dzisiejszego łowiectwa. Że p. sprawozdawca może nie jest myśliwym i „Łowca“ wcale nie zna, to go usprawiedliwić nie może, bo kiedy tak gorliwie zbierał daty z obcych krajów, to ocenienie prawdziwej i istotnej zasługi Towarzystwa i Pisma, jedynie do niej prawo rościć mogących, było jego obowiązkiem. Takie sprawozdania już z tego powodu nie mogą trafić do przekonania ogółu! *M. P.*

Z Karpat z nad Solinki.

W sprawie wniosku posła Abrahamowicza. Podnoszę tę rzecz nietylko w imieniu własnem, ale w imieniu całej okolicy Karpat, a spodziewamy się, że głos nasz nie przejdzie jak wołającego na puszczy. Wniosek Wydziału krajowego i uchwała Sejmu co do opłat od kart myśliwskich po 8 zł. i od psów po 10 zł., nie jest rzeczą małej wagi, a dla nas mieszkańców Beskidów jest to wielką niesprawiedliwością.

My mieszkańcy Beskidów nie polujemy nigdy dla przyjemności, ani nie trzymamy psów dla zabawy. Polujemy na zwierza drapieżnego i robiącego nam ogromne szkody, tak w zbożu, jako i w bydle, to jest na dzika, niedźwiedzia i wilka, a takiego polo-

wania w pojedynkę urządzić nie można, więc gdy będziemy zmuszeni opłacać za karty myśliwskie, nie tylko od siebie ale także od myśliwych, których do pomocy używać musimy, to pewnie zaprzestaniemy je tępić w zimie, a w lecie zaprzestaniemy zasiewać pola, bo dziś nie można się obegnać od tych szkodników. Od zaprowadzenia opłaty od strzelb na Węgrzech w trójnasób ich się rozmnożyło i na lato wszystko przychodzi do nas, tak, że jak tylko posadzimy kartofle na wiosnę, zaraz trzeba stawiać budę koło nich i posyłać wartownika, aby je pilnował od dzików, a gdy owies zacznie dojrzewać, to nie tylko że cała ludność męzka w polu nocuje, ale muszą urządzać patrole z psami a dwory umyślnych opłacać wartowników, którzy w dzień śpią a w nocy chodzą od jednego kawałka do drugiego, aby je od dzików i niedźwiedzi oganiać.

Taki wartownik musi mieć strzelbę, z której od czasu do czasu strzela dla postrachu, więc i dla niego trzeba karty myśliwstwa, bo żandarm nie uwierzy, że on nie poluje, jeżeli ze strzelbą po polu chodzi. Tak i włościanin nie tylko, że od strzelby musi płacić stempel na podanie i na pozwolenie noszenia broni, że pracując cały dzień musi całą noc pokutować w budzie lub chodzić od kawałka do kawałka, jeszcze ma opłacać za kartę myśliwską tyle, co jego podatek od tego lichego gruntu wynosi! My obywatele, należący do drugiego dystryktu pod Bieszczadem, nie boimy się, aby nam kto szkodę w zwierzynie zrobił, ale sami sprowadzamy włościanom strzelby, aby tylko mieć z nich pomoc w tępieniu szkodników. Od szkód pomimo tego wolni nie jesteśmy, bo podczas słoty i ciemnych nocy zawsze wpadną gdzie dziki lub niedźwiedzie i stłuką i zjedzą ten biedny owies lub zryją kartofle, że rano wstawszy, gospodarz głośne zawodzi żale.

My odstąpimy Wydziałowi i Sejmowi wszystkie nasze przyjemności i zyski z polowania, i nigdy nie użyjemy broni, chyba w obronie własnej, pozwolimy wypuszczać polowanie komu się tylko spodoba; żądamy tylko wynagrodzenia za szkody, jakie nam niedźwiedzie, dziki i wilki wyrządzą. My na jelenie, sarny i zające nie polujemy, bo na te polują wilcy, lisy i kuny, nie uważając czy to sarniuk, czy sarna, czy to jest czas dozwolony do polowania, czy nie; na ryby zaś polują wydry i nurki, nie pogardzając i rakami, a polują najwięcej w czasie niedozwolonym i gdy ich tępić zaprzestaniemy, to ani pstrągów, ani nawet raków nie będzie.

Nasi posłowie sanoccy dali znak życia, gdy ta ustawa przyszła w sejmie pod rozprawę, ale nie bronili nas tak, jakby należało, bo nam nie chodzi o rozrywkę lecz nam chodzi o życie. Czyżby się komu chciało dla rozrywki, stojąc sam przy robocie dzień cały, lub jak włościanin, pracując sam cały dzień, brać potem w nocy strzelbę i psy i iść na całą noc pilnować owsa i kartofli, gdy deszcz leje jak z cebra? I za tę przyjemność mamy płacić 8 zł. za kartę myśliwską i wystrzelać jeszcze kilka funtów prochu na wiatr?

Wszak to u nas w czasie zbiorów wygląda wieś jak obozowisko: wszędzie ognie się palą, wszędzie słychać hukanie i nawoływanie, psów ujadanie i strzelanie na wiatr, bo przecież po ciemku nikt nie zabije, a w czasie widnych nocy to i zwierz ostrożniejszy. Czasem się trafi, że tam jakiego zastrzelą, ale to nie starczy za proch, nietylko za fatygę. Tyle ze względów gospodarczych.

Ze względu wychowania naszej młodzieży i obrońców kraju nadmienić musimy, że ta ustawa, tak u nas w Karpatach jak i w całym kraju, jest chyba na to, aby żadne z naszych dzieci i z dzieci włościan nie umiało porządnie i celnie strzelić i na koniu jeździć, a gdyby przyszło do pospolitego ruszenia, nie będą umieli strzelby nabić.

Bo który ojciec z drobniejszych posiadłości, jeżeli ma trzech synów, będzie mógł i zechce od nich zapłacić za to, że w wakacye pójdą z nim na polowanie, 24 zł. za karty myśliwskie? Lub który będzie mógł płacić 20 zł. za charty, aby sobie chłopcy z chartami na konikach pohasali, a przez to wprawiali się do dobrego jeżdżenia z przeszkodami? Mało który z młodszej generacyi umie dziś pałaszem władać, jeżeliż jeszcze zabronisz mu strzelbę wziąć do ręki (gdyż choćby tylko w ogrodzie do wrony, która kurczęta zabiera, wystrzelił, zaraz zapłać 8 zł. za kartę myśliwską), będziemy mieli samych biurokratów, ale nie obrońców kraju.

A przecież byłem naocznym świadkiem w roku 1863, że z myśliwych bywali najwytrwalsi i najlepiej strzelający partyzanci, bo przyzwyczajeni śmiało stawiać czoło dzikom i niedźwiedziom, nie bali się i Moskala. Powie kto na to, że jak będzie służył w wojsku jako jednoroczniak, to się tego wszystkiego nauczy. Temu ja z praktyki zaprzeczam, bo wytrwałości i celnego strzelania nie nauczy się w jednym roku; tego trzeba się uczyć od lat chłopięcych i tylko polując przy ojcu lub w dobrem towarzystwie. Nasz włościanin chociaż trzy lata w wojsku służy, jeżeli nie jest z natury myśliwym, to nie umie dobrze strzelać. (Gaz. nar."). *F. T.*

Kamienna 3. Marca.

Biorąc przykład z różnorodnych korespondencyi, umieszczanych w „Łowcu“, ośmielam się podać do wiadomości wypadek, jaki się zdarzył w połowie Lutego na polowaniu w Uniżu, majątku p. Przybysławskiego, którego bohaterem był p. B. Słonecki, istny pogromca dzików, bo ubił w tegorocznym sezonie 20 sztuk. Wypadek był następujący. Na jednem stanowisku wyszło na p. Sł. stadko dzików na połeć, jako wytrawny myśliwy przepuszcza pierwszą sztukę i drugą, a do trzeciej strzela z dolnej lufy expresa, ta pada na miejscu, następnie pali do pierwszej sztuki z lewki górnej kulą, i ta pada, w tem trzecia sztuka wraca nazad i spotyka się ze stadkiem, z tyłu dążącem, w tej chwili naciąga p. Sł. kurek prawy i posunąwszy szperę na górny strzał, pali do całej hurmy śrutem, a wynikiem tego strzału były 3 warchlaki na jeden strzał, wystrzeliwszy zatem z wszystkich trzech luf ubił 5 sztuk. Że to wypadek rzadki, nikt nie zaprzeczy zwłaszcza, iż 3 sztuki na jeden strzał padły. To jednak pewne, że do takiego wydarzenia trzeba dobrego strzelca i dobrej broni. Że broń p. Sł. dobra, najlepszym dowodem, iż ubił on tego roku kilka grubych sztuk śrótem, między temi odyńca, przeszło 200 kilo ważącego, na miejscu jak zająca. Nie Teschnerówka to, ani Dreysówka, lecz skromny trojaczek systemu Lankastra, więc i Lankastrówki biją dobrze i ubijają, gdy kto dobrze nabija i celnie mierzy, a p. Sł. w tem mistrz. W naszych okolicach tego roku fatalnie dzieje się dzikom, a gdy kilka jeszcze będzie takich zim, to nie wiele pozostanie czarnej zwierzyny na rozpłodek i nie trzeba będzie się obawiać szkód w plonach rolnika, w naddniestrzańskiej bowiem i naszej okolicy padło więcej jak 100 sztuk dzików, a w samym Uniżu w dwukrotnem polowaniu sztuk 25. *Grzegorz Głuchowski.*

Prostując sprawozdanie „Kuryera Lwowskiego“ o polowaniu w Uniżu, majętności p. Przybysławskiego, odbytego w dniu 15. Lutego, donoszę, że p. S. nie zabił 10, ale tylko 9 dzików i zrobił istotnie tripletę, zabiwszy 5 sztuk warchlaków. Tegoż dnia padło 12 dzików na miejscu, 2 znaleziono postrzelone. Pan S. zabił jeszcze 3 lisy. W ogóle padło 16 dzików i 4 lisy w 6 nie 10 strzelb, jak z „K L.“ donoszono. Oraz prostujemy, że lis biały nie padł w Rungurach, lecz w Turce, majętności p. Edw. Torosiewicza, a szczęście chciało, że tego lisa zabił także p. S.

Podwołoczyska 16. Lutego.

Dnia 4. Stycznia b. r. zdarzył się z dzikiem następujący wypadek, którego nie doniosłem, bo w pobliżu tej miejscowości mieszkają członkowie Towarz. łowieckiego, sądziłem więc, że szan. Redakcya powiadomioną została. Leśniczy hr. Z. p. Olej obtropiwszy dzika w młodym zapuście, dał znać ks. L., który zaraz przyjechał, by na niego zapolować. Wybrali się ci panowie w dwie strzelby, a stanąwszy w pobliżu tropu, kazali gajowemu napędzać dzika (wycinek) z przeciwnej strony. Dzik wyszedł na leśniczego, któremu pierwszy strzał kłapnął, drugi śrótem 0 złamał tylną nogę. Objechano miot następny, dzik farbujący nie przeszedł, poszedł więc leśniczy w trop, dzik zaś wyszedł z miotu w gąszcze w sąsiednim lesie. Już pod wieczór zeszedł go tam leśniczy z gajowym i psem pudlem, a gdy się dzik podnosić zaczął, strzelił kulą na 15 kroków i chybił (był bardzo zmęczony, a w takim gąszczu było już szaro), pies począł dzika szarpać, a gdy tenże kłami atakować zaczął, uciekł pod nogi swego pana, dzik zaś natarł na psa. Na jakie 5 kroków wypalił leśniczy na sztych powtórnie śrótem i złamał tylko, ale nad samą racicą, przednią nogę dzikowi, który natarł na niego całą siłą, bo pies uszedł. Leśniczy począł się bronić dubeltówką, oganiając się nią i cofać na linię, dzik schwycił lufy w zęby i spłaszczył je, jak w śrubsztaku, leśniczy zaś cofając się dalej zamotał się w gałęziach i upadł wznak. Dzik szarnął go leżącego kłem w prawą rękę, później w prawy bok, przyczem złamał 2 żebra i tak skaleczył, że płuca były na wierzchu, leśniczy zastraszony nie czuł tego wcale, uchwycił dzika jedną ręką za lewe ucho, drugą za ryj. Dzik się szamotał i włóczył po krzakach, podarł kożuszek, surdut i kamizelkę, wybił mu, może przez przyciśnięcie, 2 zęby, aż po jakim kwandransie obaj osłabli. Leśniczy leżał osłabiony upływem krwi na miejscu, dzik odszedł 15 kroków i położył się na śniegu, poczem w kilka może minut poszedł głębiej w zapust. Gajowy, świadek wszystkiego, nie mając żadnej broni, wydrapał się na drzewo, a zobaczywszy, że dzika nie ma, przyprowadził sanie i odwiózł leśniczego do domu, który tej nocy zemdlał 17 razy. Ksiądz był już od chwili na leśniczówce, posłał zaraz po doktora, który opatrzył rany. Na drugi dzień t. j. 5. z. m. przyjechał ów proboszcz raniutko

dobić tego dzika, poszedł z chłopami, uzbrojonymi w siekiery, strzelał 6 razy kulami eksplodującemi, ale zawsze bez skutku, bo kule w powietrzu pękały i tylko jedna z nich po pęknięciu utkwiła za skórą rozjuszonego dzika, który rzucił się na ludzi i czterech lekko poranił, wypadł następnie na linię, gdzie go ksiądz dobił śrótem. Leśniczy dziś t. j. po sześciu tygodniach ma się znacznie lepiej, przechadza się po pokoju, przebył silne zapalenie płuc, rana na boku już się goi, na ręce jeszcze ropieje. Hr. Z. obiecał mu kupić odtylcową strzelbę, bo dotąd strzelał z kapslowej i sprawił wszystkim gajowym potężne piki.

Władysław Kotkowski

Krukienice 4. Marca.

Dnia 23. Lutego polowano w Brześcianach u p. majora Pawlikowskiego w 8 strzelb i zabito 3 lisy i 3 rogacze. Gdzie się sarny podziały — pytano — wszak w roku zeszłym po odbytych w lutym polowaniach zostawiliśmy w tym rewirze przeszło 100 sztuk, a co najmniej 20 dużych rogaczy, w roku tym tyle przyjaznym dla zwierzyny nie mogły wyginąć, co też stwierdzały ścieżki wydeptane do podawanej karmy. Przyczyna łatwa do odgadnięcia, cały prawie rewir Brześciański wystawiony na wiatry wschodnie, które w tym roku dęły przez cały Luty, więc rewir ten zawalony zaspami śniegowemi, których, jak wiadomo, sarna najstaranniej unika. Sarny zatem wyniosły się do rewirów sąsiednich zachodnich, z którymi rewir Brześciański graniczy, co jasno dowodzi, że sarny z miejsc niedogodnych wychodzą, a nawet czasem zupełnie się wynoszą. W tym roku wiele sarn wyginie z powodu długo trwających mrozów, a najbardziej z braku wody. W niektórych miejscowościach woda zupełnie wymarzła, u nas znaleziono dogorywającego rogacza, a sekcya wykazała zbitą masę, jak kamień twardą w żołądku i kiszkach, z owsa, siana i pęczy, niestrawionych z powodu braku wody. Przy zlodowaciałym śniegu sarna nie dokopie się oziminy, której tak bardzo do trawienia potrzebuje. — Dołączam słówko o kartach myśliwskich, które według mego zdania, kłusownictwa nie tylko nie poskromią, ale owszem rozszerzą je. Jak wiadomo, kłusownik nie troszczy się o pozwolenie do polowania, nie postara się też o kartę, a jeżeli go konieczność zmusi opłacić ją, to zechce dziesięćkrotnie ten wydatek powetować i stanie się uprzywilejowanym kłusownikiem. Karty dotkną głównie tak zwanych „Sonntagsjaegerów“, najmniej łowiectwu szkodliwych szczególnie urzędników, którzy czasem tylko dla przyjemności ubiją kilka zajączków. Taki myśliwy nie zechce zapłacić 8 zł. i wyrzeknie się przyjemności polowania, a wtedy łagodniej kłusowników karać będzie i zwiększy ich zastęp. Mówię to z doświadczenia. W jednakowej sprawie za ubicie rogacza jeden urzędnik skazał kłusownika na 14 dni aresztu i 10 zł., drugi na 48 godzin aresztu bez pieniężnego odszkodowania. Wynik był taki, że w pierwszym wypadku kłusownik porąbał strzelbę na kłódki, w drugim synów do kłusownictwa zaprawiał mówiąc: „Prawda, szczo sediuem w kozi dwi doby, ałe zatoje juem miaso ciłyj tyżdeń“. Surowszych kar nam potrzeba na złodziejów, ale nie podatku dla uczciwych ludzi, który i tak już gniecie nas niemiłosiernie. Ustawy u nas istnieją na papierze, n. p. czytamy na tablicach przy drogach publicznych: „Uszkodzenie drzewka podlega karze 1 — 5 zł., ja mieszkam w Krukienicach lat 29, co roku wydaję paręset drzewek i sadzę przy drodze i co roku wyłamią i wykradną wszystkie bezkarnie, bo nikt dotąd za to przestępstwo i centa nie zapłacił, ani godziny w kozie nie siedział.

Jan Ostrzechowski.

Suwałki.

Zmyślność zająca. Na pozór zdaje się zając niedołężnem stworzeniem, ocalającem się jedynie szybkim biegiem, a jednak tak nie jest. Ś. p. teść mój Stefanowicz, polując często z gończymi w okolicy Kidul nad Niemnem, zauważał, że psy razy kilka ruszyły zająca w jednej i tej samej miejscowości i zawsze traciły trop przy małem bagienku. Chcąc się przekonać o przyczynie tego, stanął przy bagienku, a dojeżdżacz puścił psy koło zwykłego legowiska. W parę minut psy odezwały się i pognały, a teść ujrzał, że zając przybiegłszy do bagienka, wbiegł na pochyłą brzozę, podmytą wodą i skrył się śród liści na kilkanaście stóp nad wodą. Wtedy zwołał towarzyszów i kazał im szukać kota, ale nikt z nich nie wpadł na myśl, że kot może być na drzewie. Wtedy teść uzyskawszy słowo, że do kota nie strzelą, uderzył go z lekka gałęzią, kot dał susa do wody, przepłynął bagienko i poszedł gdzieś na brzeg Niemna, gdzie psy ucięły. Ile razy potem tegoż kota ruszono, on już nie biegł w stronę bagienka, gdzie jego skrytkę na brzozie wykryto, lecz dopadł Niemna i tam ginął. Dojeżdżacz sprzykrzywszy sobie to bezskuteczne uganianie, poszedł raz za kotem z psami nad brzeg Niemna, a spotkawszy tam pasterza, zapytał go, czy nie widział też, gdzie się zając skrył. Ten wyjaśnił, że zając zmykając przed psami skoczył z brzegu na wielki kamień stojący w rzece o jakie pięć kroków od brzegu i tam się ułożył. Jakoż strzelec podszedł do kamienia, ujrzał zająca przyciśniętego do niego i chcąc go skarcić za bałamucenie psów, strzelił, a zając spadł do wody, zkąd go strzelec wydostał. Kiedym z kolegami polował w lesie Motulskim, psy poczęły zławiać, skomleć i biegać w koło wysokiej kopicy z kamieni. Zniecierpliwiło mię to, więc chcąc mieć oczy zwrócone na wszystkie strony i żeby kopiec nie przeszkadzał strzałowi, włażę nań, wtem z wierzchołka kopicy kot jednym susem rzucił się między psy i myśliwych, a lubo padło w pośpiechu kilka strzałów, kot zdrowiusieńki drapnął daleko w pole.

Więc zając umie obmyśleć sobie niezwykłe schronienie, korzysta z niego dopóki nie jest odkryte, dotrzymuje mocno, chociaż psy i myśliwi o kilka kroków się zbliżą, nie zważa na hałas i liczy na to, że przyczajony ocali się prędzej niż rączym biegiem.

R. Wierzbicki.

Z nad Bugu.

Trzymając się przysłowia: „Ziarnko do ziarnka, a będzie miarka“, dołączam kilka uwag, dotyczących wniosku posła Abrahamowicza, w nadziei, że pomnożę niemi miarkę protestów przeciw sankcyi powyższego wniosku. Pomijam kwestyę opłaty za karty myśliwskie, a staję tylko w obronie biednych naszych chartów. Nasuwa mi się przedewszystkiem pytanie, dla czego charty były tymi wybrańcami, przeciw którym nowa ustawa z taką surowością występuje, pragnąc je w ten sposób wytępić? Dla czego wyrok ten nie padł na psy gończe? Trudno na to odpowiedzieć. Według mego zdania chart trzymany bez należytego dozoru, polujący samopas, nader mało wyrządza zwierzynie szkody. Przypatrzmy się takiemu polowaniu chartów, porównać je można do polowania błotnego na wydeptanego. Chart pozbawiony węchu przebiega nieraz ogromne przestrzenie, nim wydepce jakiego szaraka, a i wtedy najczęściej srogi zawód go spotyka, bo gracz zając nie tak łatwo da powąchać swego omyka, a bliskość lasu kładzie tamę dalszym łowom. A jak ogromną szkodę robi pies gończy! Zresztą polowanie charta ogranicza się tylko na zająca, gdy pies gończy wiedziony węchem i pośród ptactwa wielkie wyrządza szkody. Kłusownictwu chartów bardzo łatwo zapobiedz, od dawna znany jest na to skuteczny środek, mianowicie kłódki, uwiązane przy obróżach u szyi, które nie dozwalają chartowi swobodnego ruchu, uderzając dotkliwie w nogi jego. Chart poddany takiej kuracyi wnet wyrzeknie się przyjemności polowania samopas. Znaną jest rzeczą, że chów chartów z każdym rokiem się zmniejsza, bogatszym jest on tylko na Podolu, gdzie z powodu braku lasów najodpowiedniejszy dla charciarzy teren. Głównym powodem zmniejszania się ilości chartów jest znaczny koszt chowu, a stosunkowo mały pożytek. Do wyżywienia jednej sfory, złożonej z trzech psów, trzeba najmniej kilka garncy parzonej osypki dziennie, okraszonej mlekiem, maślanką lub jakimkolwiek tłuszczem, jeżeli kto kosztowniejszej strawy nie daje, co ładną sumkę w całym roku wynosi. Do tego przyłącza się teraz opłata 10 zł. od sztuki. W razie sankcyonowania tej ustawy może istotnie spotkać sz. wnioskodawcę ta przyjemność, że naraz znalazłby się w posiadaniu tłumów charciego rodu, które właściciele ich, nie mając serca odbierać im życia, w dowód dozgonnej wdzięczności w darze mu przyślą, a nadto *utinam falsus sim vates*, może mary niewinnie pomordowanych chartów tak ciężko padną na sumienie p. Abrahamowicza, że przeklnie chwilę, w której powziął myśl niefortunnego wniosku.

J. S.

List do hr. M. Tyszkiewicza. Korzystając z łaski JWPana Hrabiego ośmielam się przesłać skreślone fakta, mające służyć jako materyał do mojej obrony na artykuł p. Z. Pietruskiego, umieszczony w 2. numerze „Łowca“. W r. 1882. zamówił p. hr. Starzeński strzelbę, systemu Lankastra z trzema lufami, z których dwie górne miały służyć do śrótu i kul okrągłych, trzecia zaś lufa express, pod górnemi położona. System miał być taki, iżby prawy kurek palił lufę prawą i dolną express. Wypraszałem się od tego zamówienia, gdyż ów system był podówczas jeszcze w kolebce i nie miałem w tym względzie jeszcze doświadczenia, proponowałem zatem strzelbę trzylufową z trzema kurkami i cynglami, który system dobrze mi był znany, ale p. hr. Starzeński trwał przy swem wymaganiu i zasiliwszy mnie znaczną zaliczką polecił zrobić taką strzelbę na swoją odpowiedzialność. Otrzymawszy z Belgii zamówione według opisu lufy, zabrałem się do roboty, ale przekonałem się, że trudno będzie zastosować kurek odskakujący do sztyfta, który pali, a niepodobna się na to zgodzić, by Lankastrówka tegoczesna nie miała kurków odskakujących. Skończywszy robotę strzelby po dokonanych próbach, oddałem ową strzelbę trzylufową jako niezawodną p. hr.

Starzeńskiemu, który z nią odbył pierwsze polowanie listopadowe w Lisowicach. Po tem polowaniu otrzymałem zamówienie na 6 sztuk, a w przeciągu dwóch lat zrobiłem strzelb trzylufowych 27, za które odbierałem tak pisemne jakoteż ustne uznanie. Jedno z tych zamówień, mianowicie p. Stan. Piegłowskiego, było dla mnie do wykonania najtrudniejsze, miał to być trzylufek z zastosowaniem górnych luf śrótowych do patronów Teschnera kal. 1., a trzecia lufa express największego kalibru nr. 500. Zwracałem uwagę, że trudno będzie zastosować patrony Teschnera, gdyż system ten jest przy zamykaniu luf suwany i łatwiej wiotkie patrony wprowadza, a przy Lankastrze łamanym trudniej przez extraktor taki wiotki patron do lufy wprowadzić; lecz ostatecznie uległem życzeniu i taki trzylufek zrobiłem. Równocześnie zrobiłem trzylufek dla p. Z. Pietruskiego i byłem obecny przy próbach przez tych panów na strzelnicy lwowskiej dokonanych Okazało się, że wszystko jak najlepiej odpowiada wymaganiom, więc odczyściwszy strzelby po próbach oddałem je do użytku. Po pierwszem polowaniu w r. 1883. przekonał się p. S. Piegłowski, że patrony Teschnera nie mogą być do tego systemu zastosowane, polecił przeto przyjechawszy w niedzielę z Lisowic przerobić komory w lufach do patronów Lankastra kal. 12, z tem zastrzeżeniem, by do wieczora robota była gotowa. Przy przerabianiu komory na patrony kal. 12 okazała się potrzeba skrócenia sztyftów, które palą, bo do patronów Teschnera musiały one być długie, a po skróceniu sztyftów należało zbliżyć do nich kurek, który przedtem dla sztyftów długich musiał daleko odskoczyć. Uskuteczniwszy to wszystko z pospiechem, zrobiłem próby kilkunastoma ślepymi patronami i na moje nieszczęście nie zawiódł żaden, a po polowaniu dowiedziałem się, że trzylufek kłapał kilkakrotnie. Dziwiłem się cierpliwości p. Piegłowskiego, iż mając tyle innych niezawodnych strzelb, narażał siebie na niebezpieczeństwo, a mnie psuł reputacyę, ostatecznie zamieniłem p. Piegłowskiemu trzylufek na inny z moim ulepszonym systemem, z którego jak słyszałem zupełnie zadowolony. Co do trzylufka p. Pietruskiego nic nie słyszałem o nim przez dwa lata, dopiero teraz czytając artykuł w „Łowcu" dowiedziałem się, że był z niego zadowolony, że strzelał bardzo dobrze i że on mu niezawodził. W roku 1885. przysłał p. Pietruski trzylufek z oświadczeniem, że miał wypadek kłapnięcia, oglądnąwszy przekonałem się, że szpera, o którą kurek bije, została przez dwuletnie używanie uszkodzoną, kazałem więc zrobić nową, a gdy ta robota była jeszcze nieskończoną, odebrał p. Pietruski strzelbę bez mojej wiedzy. Byłem pewny, że oddał ją innemu rusznikarzowi do poprawy, tymczasem zapytuje mnie p. Dr. Festenburg, czy przypominam sobie trzylufek zrobiony przezemnie p. Pietruskiemu, na co odpowiedziałem, iż jak słyszałem ma on już być doniczego, poczem p. Dr. F. wezwał mnie do próby na strzelnicę, chciał bowiem zrobić zamianę z p. Pietruskim na znany mi Büchsexpress, całkiem nowy, zapłacony niedawno 180 zł., którego z powodu wielkiego kalibru nr. 500 chciał się pozbyć, a uzyskać kal. nr. 450. Wziąłem 20 patronów, po kilku bardzo dobrych strzałach był p. Dr. F. zdecydowany na zamianę, a na 20 strzałów na moje nieszczęście żaden nie zawiódł. Czy obecnie p. Dr. F. jest z tego trzylufka zadowolony, niech sam orzeknie. Pan Pietruski twierdzi, że p. hr. H. Łączyński zarzucił ową broń, ja zaś dowiedziałem się od samego p. hr. Łączyńskiego, że jest z niej zadowolony, a że kłapnął, przypisuje sobie winę, bo po strzale w roztargnieniu zapomniał włożyć świeży patron. Pan Al. Hulimka mając znakomity Büchsexpress, przezemnie jeszcze u ś. p. Wiśniowieckiego zrobiony, nie chce z inną bronią polować. Pan hr. St. Stadnicki polując ciągle z Teschnerówką nie może się do innej broni przyzwyczaić. Że p. staroście dwie lufy naraz wypaliły, to wypadek taki zdarza się nawet przy zwykłej dubeltówce, o czem p. Pietruski jako młody myśliwy nie wie, mam obecnie strzelbę do poprawy, w której z powodu lekkich spustów przy trąceniu obie lufy wypalają. P. Pietruski nadmienia w swoim artykule nawet taką błahą rzecz, że zrobiłem p. O. Horodyńskiemu Teschnerówkę z igłami żelaznemi zamiast stalowemi, które po kilkudziesięciu strzałach pogięły się. Reparacya takich strzelb innych fabrykantów jest u mnie na porządku dziennym, stanowi ona główny mój dochód, a w książkach moich można się przekonać, że strzelby najcelniejszych fabrykantów, począwszy od Charles Lancaster w Londynie, skończywszy na Ferlachówkach, wszystkie reparacyi potrzebują i nie widzi nikt potrzeby rzucania kija między nogi, jak się wyraził p. Pietruski w swoim artykule. Wielu panów myśliwych sprowadziło sobie broń z najcelniejszych fabryk, a mnie zawdzięczają, że mogą jej używać. Fabryka Piepera w Belgii jako wielce renomowana powinna być nieomylną, a jednak musiałem w krótkim czasie kilkunastu panom myśliwym lufy Piepera na inne zamienić, i ci panowie nie widzą potrzeby szkodzenia komu w zarobkowaniu, muszę przeto przypuścić, że p. Pietruski osobistą ku mnie niechęcią pała. Mógłbym wiele jeszcze faktów podać, z jakimi zarobkujący walczyć musi, o stu zadowolonych nikt nie wie, ale jeden niechętny rozgłosi niesłuszne posądzenie całemu światu. *Molnar.*

Każdy przyjaciel myśliwstwa, a zatem każdy czytający sympatycznego nam wszystkim „Łowca", nieprzyjemnie musiał być dotkniętym krótkim ustępem kroniki nru 3. z r. b, korespondencyą z Pantalowic. Obok częstszych doniesień o rozwoju łowiectwa w kraju, przy licznych wzmiankach o powstających i utrzymujących się pomyślnie Stowarzyszeniach myśliwskich, bezpośrednio po ogłoszonem sprawozdaniu, może nie imponującem, lecz i niepośledniem, o rezultatach ostatniej kampanii, wyraża szanowny prezes Pruchnicko-Kańczudzkiego Towarzystwa myśliwskiego powątpiewanie, ażali drużyna ta jego utrzyma się i przypuszcza, że z powodu dwóch lub trzech malkantentów stowarzyszenie się rozwiąże, obiecuje zarazem p. Bzowski donieść Redakcyi, co się stanie. Miejmy nadzieję, że przyzna w następnej korespondencyi swojej, iż zbyt pessymistycznie w przyszłość spojrzał, że nas zawiadomi o utrzymaniu się dalszem Towarzystwa i że kronika, rejestrująca dotąd szczegóły o rozwoju łowiectwa i interesowaniu się niem coraz szerszych kół w kraju, nie obejmie faktu, pierwszego może, cofania się na tem polu gospodarstwa krajowego, *ou l'utile peut se joindre à l'agréable*. Kilku malkontentów, jeśli rzeczywiście są tacy, a jakież koło lub kółko ich nie ma niestety, nie wywrze sądzimy złego wpływu na grono trzydziestu towarzyszy i grono to, choćby może cokolwiek zmniejszone, zostanie związane nadal i na długie jeszcze lata. Życzymy tego jak najszczerzej obywatelom z okolicy Przeworska, Kańczugi i Pruchnika, a życzymy w interesie nie tylko myśliwstwa, ale także i w interesie samych tych Panów.

Podwysokie 15. Marca 1886.

Znane to, że lis niepokoi, prześladuje i niszczy zające, sam przekonałem się o tem, ubiwszy raz w Sanockiem lisa, doganiającego w lesie zająca, oraz obserwując nieraz jego sztuczki w tropieniu takowego. Zastanawiają mię spostrzenia od trzech lat tutaj czynione. Po nad kilkuset morgową przestrzenią błot naddniestrzańskich, rozciągają się od północnej strony lekkim wzniesieniem grunta folwarku Gizów, tworząc w jednym punkcie wyższe wzniesienie, gdzie podczas wylewów woda nie dosięga. To miejsce obrały sobie lisy za mieszkanie, pokopawszy taką ilość jam, że uprawa roli jest tam niemożebną. O 50 kroków od tego miejsca jest kilkusążniowa wklęsłość zarośnięta trzciną i w tej każdego dnia o każdej porze można spotkać 4 do 6 zajęcy. Częstokroć spostrzegam tam myszkującego lisa, podjeżdżając go często się z nim rozmijam a z pod nóg z owej zarośli wymykają zające. Być może, że zające te zawarły jakąś ugodę z lisami, dostarczając im kolejno z siebie pożywienia. Wczoraj, gdym tamtędy jechał, wskazał mi parobek tuż obok kępki wygrzewające się na słońcu przy jamach dwa lisy, podjeżdżamy, a po chybionym strzale (chociaż to już nie wolno, lecz tych drapieżców obecnie nigdy nie oszczędzam) równocześnie z trzciny wyskoczyły dwa zające i z lisami pomknęły do lasku. Lisów jest tu tego roku więcej jak w innych latach, gdyż reflektując na ogromną ilość myszy polnych, które nam zbiory zniszczyły, od dwóch lat przestaliśmy lisy tępić. Zważywszy wszakże, że lisy myszy nie niszczyły, ale niszczą sarny i zające, będę je teraz strzelał. Gdyby ustawa dotycząca kart myśliwskich została sankcyonowaną, będę wyłapywał lisy w worki (sposób przez tutejszych raubschützów praktykowany), gdyż na te worki podobno jeszcze nie są w projekcie opłaty, zaś 9 zł. 50 ct. rocznie od mej lankastrówki płacić nie będę. Przyjemności polowania zmuszony jakkolwiek z żalem sobie odmówić, spokojnie będę patrzał na setki psów włóczących się i niszczących zwierzynę, bo dozorców polowych, a przytem strzelców utrzymywać, rzecz zbyt kosztowna. Kłusowników tu dosyć, w danym razie jeszcze ich przybędzie, ci dostarczą mi zwierzyny bardzo tanio (sarna 1 zł., zając 40 ct.), a zdaje mi się, że nie długo czekać będę, iż kraj obmyśli inne źródło dochodów, opłaty kart myśliwskich zniesie, a pozostanie mu tylko po niewczasie żal i wyrzut sumienia, że podniesiony długą i troskliwą pracą zwierzostan w kraju podcięty zostanie. *W. Piasecki.*

Korespondencye ze Straży, Łęczycy, Popielnik i Złotnik nadeszły, gdy numer już był złożony, mogą przeto być umieszczone dopiero w przyszłym numerze.

Redaktor: Józef Łoziński. Adres: Władysław Zontak ul. Teatralna Nr 18.

I. Związkowa Drukarnia we Lwowie.